



MEXICO86

PL ISSN 0137-1106 Nr 4(850) 2022

kamena

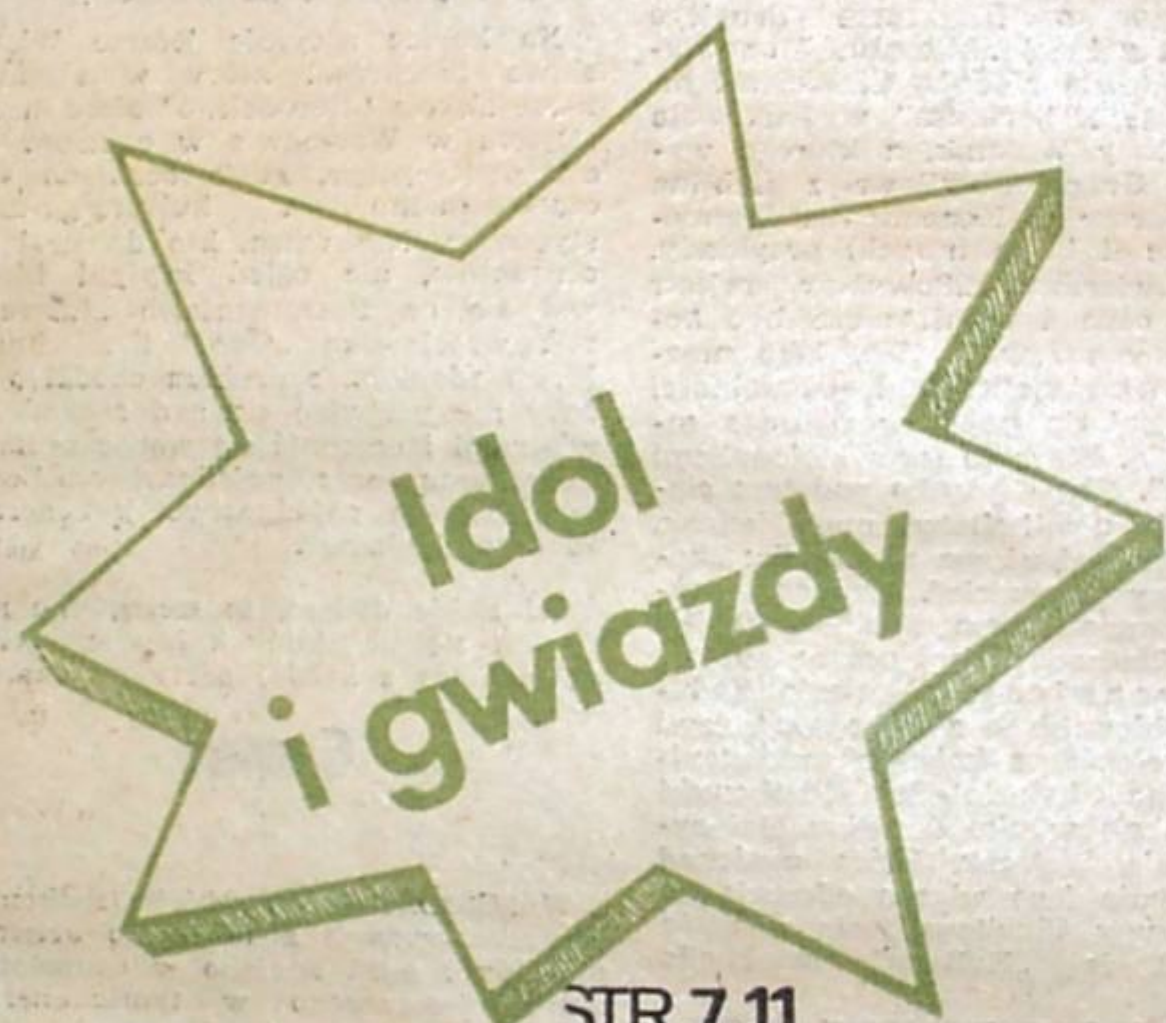
NR 4 (850)

23 lutego 1986

Cena 15 zł

Terroryści domowego chowu

STR. 3,8-9



STR.7,11

Mikrokomputery

STR. 8

JAKI BĘDZIE FELIN?

STR. 9



Panie są słodkie a panowie bez złudzeń

STR. 10

Przed Zjazdem ZLP dyskutują literaci lubelscy - STR.4



Tadeusz Jasiński



Ryszard Jegorow



Adolf Lekki



Henryk Makarski



Waldemar Michalski

z notatnika

Powrót do rzeczywistości

12 lutego

25 lutego rozpoczyna się w Moskwie XXVII Zjazd KPZR, który — można to powiedzieć już dzisiaj — będzie miał wielkie znaczenie nie tylko dla samego Związku Radzieckiego. Kiedy w listopadzie ub.r. przebywałem w Moskwie, Nowgorodzie i Charkowie (ciągle ten wyjazd czeka na opisanie, wiele spraw nie traci na aktualności), niemal wszystkie rozmowy obracały się wokół zjazdu. Dziennikarze radzieccy, a z nimi przede wszystkim się kontaktowałem, szczerze opowiadali o przemianach, które dokonują się w Kraju Rad, o nowych formach propagandowych, o większej otwartości w wyrażaniu własnych poglądów, o rosnącej liczbie listów od czytelników. Później, już w Polsce, trafił mi w ręce ten numer „Sowietskoj Rossii”, w którym zrelacjonowano przebieg męskiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej. Pismo zacytowało opinie robotnika z zakładów „Sierp i Młot”, W. I. Kopiewa, który powiedział, że w referacie wstępnym największe na nim wrażenie wywarła nie tyle nawet ostrość krytyki różnego rodzaju niedostatków, co głębokie zrozumienie prawdziwych potrzeb mieszkańców Moskwy. „Niezmierzanie żałuję, że nie ma tu wraz ze mną wyborców, którzy delegowali mnie na konferencję, że nie mogą oni usłyszeć tej gorzkiej, ale zawsze oczekiwanej prawdy. Jak bardzo ucieszyłoby się oni z powrotu do rzeczywistości!”

Dalej pismo stwierdza, że w ubiegłych latach Moskwa i jej miejska organizacja partyjna znajdowały się poza sferą krytyki, którą często traktowano nie jako pozytywne zjawisko w życiu społecznym, ale jako osobistą obrzę. Komitet miejski — co podkreślono w referacie — nie był w stanie wpływać środkami partyjnymi na odpowiednią dużą grupę kadry kierowniczej, na tych, którzy nie zrozumieli istoty dokonujących się przemian i zbyt wolno się do nich przystosowywali, jakby czegoś oczekując. Na konferencji postulowano, by położyć kres kontaktowaniu się z masami jedynie z trybun i z szumnych zebrań bądź spotkań. Z ludźmi należy prowadzić otwarty, bezpośredni i szczerzy dialog, co umożliwi m. in. energicznie zwalczać pychę, lapówkarstwo i inne negatywne zjawiska.

Od siebie dodam, że szczególnie energicznie potraktowano w ZSRR walkę z alkoholizmem. Pijaństwo uznano za jedną z największych plag społecznych. Wódka jest droga i trudno ją teraz kupić nawet w godzinach popołudniowych, kiedy oficjalnie jest w sprzedaży, bo wiele sklepów alkoholowych zlikwidowano. Surowo karze się nieuczciwych kierowców i zdecydowanie nie tępi spożywanie alkoholu w zakładach pracy. W żadnej redakcji, którą odwiedziłem z red. Marianem Flejsherowiczem, nikt nie sięgnął do „barku”, przyjaźń utrwalala kawa lub herbata... (W redakcji „Kamieny” — jeśli ktoś ciekaw — całkowicie zniknął alkohol, ale raz, kiedy odwiedziłem nas dziennikarze z NRD, zrobiliśmy wyjątek, w redakcjach radzieckich i takich wyjątków nie ma).

Będę śledził obrady zjazdu z dużą uwagą, choć, niestety, tylko na podstawie relacji telewizyjnych, radiowych i prasowych.

W cztery miesiące po zjeździe komunistów radzieckich odbędzie się X Zjazd PZPR. Właśnie „Trybuna Ludu” opublikowała projekt programu PZPR. Do dyskusji nad tym projektem i la-my naszego pisma są otwarte!

Prowincjonalizm i stronniczość

15 lutego

Ośmieli się Lidia Wójcik skrytykować w „Kamieniu” teatr lubelski i zaraz słysząc miazgotanie: paszkwił! Przypomniała mi się ta niedawna polemika, kiedy otworzyłem siódmy numer „Polityki” i przeczytałem, co pisze Tomasz Raczek: „Na półmetku sezonu 1985/86 na myśl o kolejnej premierze w warszawskich teatrach oblewa mnie zimny pot, a strwożona podświadomość podsuwa tysiące wymówek, aby nie pójść na przedstawienie. Stan stołecznych scen osiągnął bowiem dno i nie nie wskazuje na to, aby na serio zabierano się do twórczej pracy”.

W tymże samym n-rze „Polityki” KTT snuje rozważania na marginesie zebrań wyborczych w Warszawskim Oddziale ZLP: „Zebranie [...] nie u dzieliło mandatów zjazdowych całemu praktycznie obecnemu kierownictwu związku, co oznacza w konsekwencji, że nikt z obecnych kierowników związku nie zasiądzie w przyszłym Zarządzie Głównym, który wybierany będzie spośród delegatów. Nie znajdzie się tam więc ani Halina Auderska, obecny prezes, ani Zbigniew Salfjan, obecny wiceprezes, ani wielu innych działaczy związkowych, którzy po zawieszeniu ZLP w stanie wojennym reaktywowali tę organizację”.

O czym to świadczy? — zastanawia się dalej KTT i sam sobie odpowiada. Jego zdaniem świadczy o tym, że w nowym ZLP panuje pewien stopień demokracji, dzięki której ludzie należący do establishmentu związkowego mogą zostać w tajnych wyborach wyeliminowani w sposób nie tylko bolesny, ale i radykalny, i o tym, że musiała istnieć w ZLP grupa silnie niezadowolona z polityki czy działalności obecnego kierownictwa ZLP. KTT podkreśla, że opozycja, żeby tak powiedzieć, „z prawa”, w ogóle do nowego ZLP nie należy i znalazła się poza związkiem. Dla obecnego establishmentu związkowego groźna (ciągle jego zdaniem!) okazała się opozycja „z lewa”.

Opozycja „z prawa”, opozycja „z lewa”... KTT siedzi w środku cyklonu (choć sam do ZLP nie należy i nigdy

nie należał) i zapewne lepiej od mnie, browincjusza, orientuje się w skomplikowanych warszawskich układach personalnych. Dla mnie jednak już sam fakt, że Halinę Auderską na 156 głosujących poparło tylko 80 literatów, jest nadzwyczaj wymowny. Jeśli ktoś w najtrudniejszym okresie bierze na siebie ciężkie obowiązki społeczne, jeśli konsekwentnie (i zwycięsko) walczy o materialny byt pisarza i w nagrodę dostaje po grzbiecie (najpierw od „tamtych”, a teraz od „swoich”), to tylko można wyjść z sali i tak trzasnąć drzwiami, żeby się futryna zatrząsała. KTT mówi w opozycji „z lewa”, a ja powiem inaczej, choć to może będzie świadczyć o mojej naiwności: po prostu 76 warszawskim literatom, którzy skreślili nazwisko Auderskiej, zabrakło najwykleszej kultury i poczucia odpowiedzialności! A potem poniekąd mogą przy jakiejś okazji zaskomleć: „Władza nas nie docenia!” Sądzę, że władza lubi mieć do czynienia z ludźmi choćby w miarę poważnymi!

Gdybym był wielkim patriotą lubelskim (a nie jestem, bo sporo widzę i słyszę), napisałbym, że Auderska Auderską, ale byłby lublinianin, Romuald Karaś, otrzymał 135 głosów i znalazł się na drugim miejscu po Zygmuncie Wójciku (137 głosów). Może Franciszek Piątkowski potraktowałby to również jako „benefis lubelski”? Właśnie w piątkowym n-rze „Sztandaru Ludu” ukazał się jego artykuł (felieton?), w którym m. in. znajduje „rejestr” ostatnich osiągnięć lubelskich twórców. Czytam więc, że „Twórczość” zamieściła pierwszą część powieści Bogdana Zadury, pracownika „Akcentu”, i że tegoż Zadurę pochwalił Ryszard Matuzewski. Dalej: że „Kultura” opublikowała obszerny tekst redaktora naczelnego „Akcentu”, Bogusława Wróblewskiego, o literaturze drugiego obiegu, a z kolei „Literatura” opowiadanie Bogdana Madeja. Piątkowski pisze też, że „Literatura” wydrukowała artykuł Ewy Walczak, z którego wynika, iż Grupa Chwilowa z Lublina zrobiła furorę w Kopenhadze. Wymieniwszy te (i kilka innych) przykłady, autor stwierdza: „Powyższy rejestr zdarzeń, ocen i opinii może być komentowany rozmaicie. Np. jako przejaw prowincjonalizmu i działalności zmierzającej do poprawy dobrego samopoczucia. Biorę to (prowincjonalizm) na siebie”. Oby się tylko pod tym ciężarem nie ugiął! Dziwi mnie jednak, gdy Piątkowski używa określenia: „komentowany rozmaicie”. Zamiast „rozmaicie”, napisałbym „jednoznacznie”, bowiem Piątkowski jest przede wszystkim stronniczy. Wymienia Zadurę i Wróblewskiego z „Akcentu”, czyli swoich kolegów z kolegium redakcyjnego tego kwartalnika (Piątkowski zatrudnia się w nim dodatkowo) i cytuję opinię Walczak, która poniekąd podbudowuje jego własne odczucia na temat Grupy Chwilowej, nie zauważa natomiast, że „Kultura” zamieściła

również bardzo ostrą polemikę Ireneusza Stępińskiego z wybitnym skoczylasem. Prawda, że tekst Kaminskiego był znany w Lublinie dopiero w drodze, a „Sztandar” ukazał się już w piątek, dla chcącego nie ma jednak nie trudnego i odpowiedniej korekty można było dokonać w drukarni, gdyby się chciało, oczywiście. Co tu zresztą pisać o polemice ze Skoczylasem, skoro Piątkowski uprzednio nie dostrzegł, że Kaminski otrzymał drugą nagrodę Ministra Obrony Narodowej w dziedzinie literatury, nie widzi również jego tekstów stale ukazujących się na łamach poważnej warszawskiej „Sztuki”...

W tym miejscu może spotkać mnie zarzut, że każda myślka swój ogonek chwali (Piątkowski kolegów z „Akcentu”, a ja kolegę z „Kamieny”). Przyjmując ten zarzut, z miejsca replikuje: Piątkowski ani słowem nie zaznaczył się również o sukcesie innego lublinianina, młodego Szczepana Sadurskiego, który ostatnio zdobył Srebrną Szpilkę w dziedzinie rysunków humorystycznych, a przecież redakcja „Szpilek” też mieści się w Warszawie!

Konkluzja: jeśli chce się uczciwie śledzić sukcesy lublinian, należy na bok odłożyć osobiste uprzedzenia i przynajmniej starać się zachować obiektywizm!

Inna sprawa, że dla mnie wydrukowanie artykułu, wiersza czy opowiadania w prasie ukazującej się w stolicy (nadwiślańskiej, a nawet nadsekwaniańskiej) jeszcze o niczym nie świadczy. Z niejednego pieca już chleb jadłem i wiem, że nie zawsze w grę wchodzi tu jedynie wartości artystyczne dzieła, a stolica również może być prowincją (w tym mniemaniu u-macniają mnie wyniki głosowania, o czym wspominam na wstępie).

Na koniec zacytuję jeszcze Władysława Machajka, który w siódmym n-rze „Życia Literackiego” pisze m. in.: „Byłem w Warszawie w centrum życia politycznego, gdzie oceniano stan czasopiśmiennictwa kulturalno-artystycznego. Nie wiem, kto dobierał recenzentów, ale ogień krytyki kierował się na Putramentową „Literaturę”, wrocławską „Odrę” i „Kulturę”. Moim zdaniem, z grubsza chodzi o to, żeby nie pochylać się nad zachodnimi wiatrami i uczynić się wobec zgnitego liberalizmu oraz pojedynstwa. Lenin twierdził, że pojedynstwo jest gorsze od rewizjonizmu”.

Od siebie dodam, że szczególnie powinien się uczytnić każdy partyjny dziennikarz i każdej partyjnej gazety!

Guma

16 lutego

W „Gazecie Krakowskiej” (znakomicie redagowanej) z 10 lutego artykuł pt. „My i oni”. Niejako w uzupełnieniu zamieszczono w tymże n-rze „Kamieny” tekstu pt. „Terrorysta domowego chowu” cytując z „Gazety” pikantny fragment:

„Do tramwaju wchodzi starsza kobieta o lasce. Wszystkie miejsca zajęte, nikt nie kwapi się, by ustąpić jej miejsca. Poddenerwowana, zaczyna coraz szybciej i głośniej stukać łaską w metalową podłogę. Nagle siedzący obok młodzieniec nie wytrzymuje i zwraca kobiecie uwagę: „mogła pani założyć gumę na łaskę, to byłby mniejszy hałas”. Na to prawie bez chwili zastanowienia starszuszka odpała: „mogł sobie ją założyć twój starzy dwadzieścia lat temu, to teraz miałabym gdzie siedzieć”. Cały tramwaj zamiera, by po chwili wybuchnąć poważną salwą śmiechu”.

M. A. Jaworski

W następnym numerze „Kamieny” wywiad z Antonim Piechniczkiem

Trener narodowej kadry piłkarskiej oświadczył m.in. przedstawicielowi „Kamieny”, Wiesławowi Horabikowi:

— Nie zawsze zawodnicy, którzy odgrywają czołową rolę w macierzystym klubie, okazują się przydatni w reprezentacji. Są oni dobrymi snajperami, często nie spełniają jednak innych kryteriów obowiązujących reprezentanta kraju. Mogłbym podać wiele takich przykładów z dalszej i bliższej przeszłości: chociażby Kielec z Pogoni Szczecin, Janik z Odry Opole, czy Malinowicz z Ruchu Chorzów. Byli oni czołowymi strzelcami krajowymi, ale nie zdołali sprostać reprezentacyjnym wymaganiom.

A kto, zdaniem Piechniczka, zdobędzie tytuł mistrza świata w Meksyku? Na odpowiedź trzeba poczekać dwa tygodnie. Zachęcamy do lektury!

Listy do „Kamieny”

Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatni „notatnik”, („Kamena” nr 2) od którego zaczynam zwykle lekturę „Kamieny”, jest szczególnie interesujący. Polemiki były i są nerwem dziennikarstwa. Znak Pana adwersarzy, jestem przekonany, że nie ograniczą się do wyznaczonych im roli „chłopców do bicia”, ciąg dalszy owej wojny na pióra zapowiada się pasjonująca. Szare zawi-

czaj łamy naszej prasy zakwitną więc znów różnymi kwiatkami.

W samym prawie oku cyklonu znalazła się także sprawa olimpiady polonijnej, z którą jestem związany, chociaż Pan, przestrzegając jak zwykle dobrych manier, wymienił mnie, jako osobę trzecią, jedynie z pierwszej litery nazwiska. Dekonspirowuję się jednak i proszę o łaskawe zamieszczenie kilku wyjaśnień. Wspomniana rozmowa miała jedynie na celu popularyzację idei olimpiady, pominięto więc w niej sprawę układu pracy poszczególnych osób. Tak więc inicjator olimpiady rozmawiał o niej z przewodniczącym Komitetu, który jednocześnie opracował całość od strony merytorycznej, dzieląc niezmiernie obszerny materiał na wybrane grupy tematyczne i dobierając odpowiedni do nich zestaw lektur. Stroną organizacyjną zajęło się Kuratorium, a zwiastował p. Krystyna Sko-

czyńska, pełniąc w Komitecie funkcję sekretarza. Donoszę również, że wśród członków Komitetu jest p. redaktor Maciej Podgórski z „Kamieny”. Inicjatywa spotkała się z żywym przyjęciem ze strony nauczycieli i uczniów szkół lubelskich. Do olimpiady zgłosiło się ich ponad 250. Jej pierwszy etap odbędzie się 22 lutego. Poznając dzieje i losy rodaków, którzy musieli opuścić kraj, uczestniczy olimpiady zbliża do siebie świat z jego problemami odnoszącymi się do przeszłości i teraźniejszości. Będzie to cenna zdobycz w ich edukacji. W przekonaniu, że „Kamena” z tych właśnie powodów, niezależnie od wytkniętego nam „falstartu”, poprze całą imprezę, piszę do Pana tych kilka słów i ściskam Jego dłoń.

Wiesław Śladkowski

TAKIE pytanie wydaje się naiwne, bo przecież powszechnie wiadomo, czego potrzeba oświacie. Skoro w wielu szkołach nauka odbywa się na dwie a nawet trzy zmiany, w niejednej szkole zawodowej lekcje trwają od godz. 8 rano do 10 wieczorem, no to jak można zmienić tę sytuację, nie wznosząc nowych obiektów dydaktycznych? Należy się brać do roboty tym spieszniej, albowiem do roku 1990 liczba dzieci w wieku od 7 do 18 lat zwiększy się o 830 tysięcy w stosunku do stanu z roku ubiegłego, a tym samym pojawi się konieczność zbudowania 1800 szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz 50 tysięcy mieszkań dla nauczycieli — jak stwierdza słowny program rządowy, który wskazuje ponadto, że tylko 40 proc. szkół dysponuje salami gimnastycznymi.

My wiemy, władze wiedzą, ale co z tego, skoro wielkość tego zadania przekracza możliwości budownictwa, w ogóle gospodarki. Na Lubelszczyźnie wzniesiono kilkadziesiąt obiektów oświatowych, choć potrzeby są znacznie wyższe, obejmują ponad 100 szkół podstawowych, 67 przedszkoli, przynajmniej jeden zespół szkół zawodowych, 155 warsztatów szkolnych, 46 sal gimnastycznych i około 3000 mieszkań dla nauczycieli. Na wojewódzkim koncie Narodowego Funduszu Pomocy Szkole zgromadziliśmy ponad 350 mln zł, budżet WRN przewiduje 48 mln zł na popieranie czynów społecznych w oświacie, prawie 2,5 mld zł z ogólnej kwoty nakładów inwestycyjnych w tej pięcioletniej kadencji się na oświatę — ale to wszystko mało, za mało.

Wiadomo też, że szkołom potrzeba większej liczby wykwalifikowanych nauczycieli. Przewiduje się, że w latach 1986—1995 placówki te, chcąc normalnie funkcjonować, powinny przyjąć aż 194 tysiące nowych pedagogów, gdy tymczasem projekt planu 5-letniego zakłada skierowanie do całej sfery pozaprodukcyjnej 300 tysięcy osób. Już obecnie na Lubelszczyźnie na etatach nauczycielskich pracują 1072 osoby z wykształceniem średnim, bez kwalifikacji pedagogicznych, a ponadto sześć, które nie osiągnęły nawet takiego poziomu edukacji. Owszem, 7138 naszych nauczycieli (46 proc. zatrudnionych) posiada tytuł magistra (dziejściu — doktora), ale i prawdą pozostaje, że absolwenci uniwersytetów dopiero z czasem nabierają umiejętności dydaktycznych i wychowawczych.

Oczywiście, rośnie również zapotrzebowanie na podręczniki i inne książki szkolne. W 1990 roku powinniśmy wydrukować 70 mln egzemplarzy, czyli dwukrotnie więcej, niż na początku obecnej dekady. A lektury, słowniki, encyklopedie, bez których nie do pomyślenia jest nowoczesna edukacja? To osobny rozdział tego rozległego problemu wydawniczego, który determinują moce poligrafii i produkcja papieru.

Potrzebne są pomoce dydaktyczne i nowe programy nauczania, politechnizacja i szklanka mleka, mikrokomputery i „jabłko dla każdego ucznia”, respektowanie zasadniczych postanowień Karty Nauczyciela w zakresie płac i na pewno coś tam jeszcze...

Czy uda nam się rozwickać choćby te fundamentalne kwestie, określające kondycję szkoły polskiej w sferze materialnej, kadrowej i dydaktyczno-programowej? Odpowiedź na to pytanie wpisana jest w sytuację gospodarczą kraju, która albo przyda mocy praktycznej, albo zredukuję te wszystkie plany, jakie już opracowano w celu postawienia oświaty na nogi. Tak to przynajmniej wygląda w ujęciu generalnym z natury rzeczy zacierającym kontury sprawy. Tymczasem wiadomo, że kształcenie i wychowywanie młodych ludzi to proces subtelny, w poważnym stopniu zależny od stanu ducha uczniów, pedagogów, rodziców, w istocie — całego społeczeństwa.

Bywały w Polsce lata biedniejsze od obecnych. Realne zarobki nauczycieli były niższe od dzisiejszych. Brakowało podręczników, pomocy dydaktycznych i podręczników, sal lekcyjnych, Internatów. Ale mimo tego szkoły kształciły rzetelnie, wychowywały młode pokolenia dla społeczeństwa i

państwa, niejako po drodze likwidowały różnicę trudności techniczno-materialne, korzystając z pomocy rodziców i instytucji patronackich. We wsiach i małych miastach nauczyciele stanowili autentyczny aktyw społeczny lokalnych zbiorowości, inicjowali i rozwijali różnorodne przedsięwzięcia kulturalne, organizowali towarzystwa regionalne. To oni właśnie powołali do życia w Hrubieszowie formację (ponad 1000 członków), która pod przewodnictwem Wincentego Piątaka, nauczyciela miejscowego liceum, doprowadziła do uruchomienia muzeum, wzniesienia pomnika Bolesława Prusa — regularnie urządzając ponadto sesje popularnonaukowe i ogólnopolskie plenery plastyczne. Skromny, powielany na podłym papierze Biuletyn Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego to dziś obfite źródło do dziejów miasta i okolicy.

Czego potrzeba szkole?

Obecnie jest inaczej. Tylko „starzy” nauczyciele mają się prac społecznych, natomiast młodzi z reguły pytają „co ja z tego będę miał?” Odmienne reakcje magistrów przyjmowane są z niedowierzaniem, na zasadzie „kpi czy o drogę pyta”.

Podobnie rodzice, głównie ci, których dzieci uczęszczają do szkół podstawowych. Taką szkołę latorośl tak czy siak musi skończyć, więc ojciec lub matka nie kwapią się, by choćby palcem pomóc instytucji. Sytuację na linii szkoła — dom nieźle ilustruje sprawa „szklanki mleka dla każdego ucznia”. Gazety i telewizja trąbią o potrzebie mlekoopijstwa, jakby zdrowie i życie dzieciaków zależało od polykania milionów bakterii, pleniących się w napoju prosto od krowy (?) — a jednocześnie gromią te placówki, które unikają „szklanki”. Tymczasem większość szkół po prostu nie posiada warunków, umożliwiających takie dożywianie, a wszelkie próby o wsparcie organizacyjne, jakie kierowane są do rodziców, zbywane bywają jednym zdaniem: „moje nie musi pić mleka”. Dodajmy, że nauczyciel oddelegowany do akcji „mleko” z własnej kieszeni płaci za konwie, które ewentualnie zgina (dzięki „sprytowi” konwojentów).

Rodzice stali się zresztą bardzo wygodni i uważają, że cały ciężar wychowania ich potomstwa powinna przejąć szkoła. I mają do niej pretensje, że nie potrafi zrobić anioła z dziecka, na którego oczach, w domu, oni sami szarpną się, lżą i upijają jak wieprze. Ale wnosząc pretensje, jednocześnie dyskredytują np. nauczycielkę biologii za to, że — „beżbożna idiotka” — wyjaśnia uczniom rodowód człowieka wedle teorii Darwina. Z tego wszystkiego dzieci zaczynają pić „kompot” miast mleka.

Inaczej rzecz wygląda w szkołach ponadpodstawowych, gdzie rodzice zabiegają o bliższe kontakty z nauczycielami, bywa, że dziela się z nimi własnymi zarobkami. W końcu gra idzie o dyplom uprawniający do wykonywania zawodu lub otwierający szansę podjęcia studiów przez syna czy córkę. Co prawda placówki oświatowe powinny wychowywać uczniów — np. w poszanowaniu ogólnie obowiązujących norm etyczno-prawnych, ale cóż, mówi się „takie jest życie” i zgodnie z tą filozofią znaczne grono przyznają wszystkim starszym kolegom i koleżankom specjalny dodatek (1500—2500 zł) do pensji, wliczany następnie do podstawy obliczenia emerytury, a pomyślany przez ustawodawcę

jako zachęta do pozostania w pracy pedagogów nieprzejętym pod każdym względem, którzy właśnie mogliby już odejść na zasłużony odpoczynek. Przypomina to praktyki w pewnym przedsiębiorstwie budowlanym, którego samorząd przeprowadza przy końcu roku korektę planu „w dół” by cała załoga mogła otrzymać premię za wykonanie zadań. Ot, uroki demokracji dla siebie. Niewykluczone, że tacy samosterujący się budowlańcy klną na kiepskie chowanie ich dzieci przez szkoły za nauczyciele zwracają na budowlańcy, którzy przeciągają w nieskończoność wznoszenie mieszkań dla pedagogów.

Co tu się dziwić uczniom, którzy wlamują się do macierzystej „budy”, by podwędzić magnetofon z gabinetu pani dyrektor?

Co tu się dziwić skłonności młodych ludzi do ge-

stów nieodpowiedzialnych, skoro niektórzy nauczyciele liceów ogólnokształcących demonstrują na lekcjach nie tylko rezerwę, ale wręcz wrogość wobec ustroju państwa — będącego ich pracodawcą i wierzyicielem!

Co tu rozdzierać szaty nad upadkiem obyczajów i chaosem w młodych głowach, jeśli korzystając ze statusu duszpasterza i specjalnej instrukcji, zwabia się druhów z ZHP na parafialną dyskotekę, by przekonywać ich, że „Harcerszy służą Bogu i Polsce”, oczywiście innej od tej, jaką od lat nęka „Jalcyzacja i sowietyzacja”.

Co tu się dziwić przygotowaniu absolwentów zasadniczych szkół zawodowych do życia społecznego, jeśli członek partii oznajmia publicznie, że biologia, geografia i ochrona środowiska to przedmioty zbędne w programach ZSZ, które mają wszak „kształcić robotników”!

Co tu się dziwić obyczajom uczniów takich szkół, skoro niektórzy nauczyciele zawodu posyłają ich po papierosy, „obchodzą” imieniny na zajęciach warsztatowych, naklanają chłopców do skombinowania płynu borygo (dla siebie) i wdęptują w kanał każdą indywidualność, która ma czelność przeciwstawić się ich żądaniom, szukając wsparcia w regulaminach i zwykłym poczuciu przyzwolenia.

Otóż: dziwić się trzeba wszystkiemu, co jest drażliwym, głupotą, przejawem złej woli, co stało się zdegenerowaną normą naszego życia zbiorowego, którego elementem, jednym z wielu, jest szkolnictwo. A dziwić się będzie można wówczas, kiedy odzyskamy poczucie wspólnoty narodowej i odbudujemy względnie jednorodny horyzont wartości prymarnych dla egzystencji państwa ludowego.

Sytuacja w szkolnictwie, moralna i materialna, jest tylko projekcją tego, co dzieje się w obszarze różnych spraw naszego kraju. Sądzą przecież, że wybudowanie nawet 3000 szkół i wydrukowanie 100 mln podręczników nie zbliży nas do ideału szkoły twórczej, jeżeli nie skupimy się, bez względu na dyferencjacje światopoglądowe i polityczne, wokół ideału Polski jako socjalistycznej, historycznie ukształtowanej ojczyzny nas wszystkich.

W zakończeniu XXIV Plenum KC PZPR, które rozważało „Kierunki działań na rzecz dalszego doskonalenia i rozwoju szkolnictwa w PRL”, Wojciech Jaruzelski powiedział po prostu, że celem szkół jest wychowanie „porządnie człowieka”. Czy stwierdzenie to można uznać za dyskusyjne?

Pod rozwagę rodzicom

Terroryści domowego chowu

„Z Y rzeczywiście dziecięce kaprysy, upór i zachcianki przekształcić się mogą w poważny problem wychowawczy? Czy presja, jaką wywierają dzieci na swoich rodziców, by osiągnąć pewne dobro i przyjemności za wszelką cenę, może być nazwana dziecięcym terroryzmem? A nieposkromienie i skorygowanie wyjątkowo rozhisteryzowanych i uproszonych, czasem i desperackich odruchów dzieci może doprowadzić do tego, iż wyrastają „terroryści domowego chowu”, ze skutkami tragicznymi niekiedy dla rodziny? Może. Potwierdza to nauka i doświadczenia pedagogów, socjologów i lekarzy w ich codziennej praktyce. Ciekawy artykuł na ten temat red.

Miry Borkiewicz w ukazującym się w Katowicach tygodniku społeczno-kulturalnym „Tak i nie” zainspirował mnie do rozważenia się w owej problematyce w środowisku lubelskim. Sporo obserwacji dostarczyła mi rozmowa z psychologami i pedagogami, m. in. z lubelskiego Pogotowia Oplekuchowego i Poradni Wychowawczo-Zawodowej, dokąd najczęściej trafiają i rodzice i dzieci, niekiedy smutnie ofiary popełnianych przez własnych rodziców błędów wychowawczych.

Na dwa dni przed Wigilią 23-letni mieszkaniec Kamionki (gmina Opole Lubelskie), pod wpływem alkoholu w sposób wyjątkowo okrutny zabił swoją matkę. Za co? Mieszkał razem z

nią, współgospodarzył, a „poniósł” go pretensje i prześmiewki koleśków za nabytą małą kieszonkową, które od niej otrzymywał i zwykle w całości przeznaczał na wódkę. Czytaliśmy o tym wypadku niedawno w prasie.

Nastolatek Jacek — piroman-aktor — by wymusić na rodzicach spełnienie dość sporej listy życzeń i wymagań obłożył całe mieszkanie materiałami wybuchowymi...

Hubciowi wolno było wszystko, nawet chodzić po stole przy gościach, by nie wspomnieć o innych protach wieku dziecięcego. Kiedy dorósł, nie kończąc oczywiście szkół, popadł dość szybko w najulebialsze i najniebezpieczniejsze z na-

logów — narkomanię. W czasie „głodu” porzucał się z siekierą na mleko, dom (stary, awersyjny budynek) i mieszkającą w nim rodzinę. Miał biegać wzdłuż do znajomych lekarzy, błagając o recepty. Często wśród nocy dobiegał się do aptek w poszukiwaniu leków. Bez słowa sprzeciwu gotuje „kompot”, nabierając w tej „sztuce” coraz to większej wprawy...

Tadzik zaś „zachorował” na motorynkę. Nadarzała się okazja bo ktoś w sąsiedztwie miał akurat taką na sprzedaż, ale rodzice Tadzika nie kwapili się z zakupem. Co nie znaczyło, iż nie chcieli chłopcu sprawić tej radości. Zakup motorynki planowali jednakże w innym terminie. Zniecierpliwiony zwoloka i rozżalony odmowa rodziców, Tadzik powiesił się. Chęć zapewne „starych” postraszyle...

Przytoczone powyżej przykłady nie są wcale wzięte z sufitu. Dziesiątki podobnych i jeszcze więcej podać mogą ze swej pracy i doświadczeń chociażby psycholodzy i pedagodzy z poradni wychowawczo-zawodowych, pogotowia opiekuńczego, placówek wychowawczych.

Dokończenie na str. 8—9

Spojrzenie z Lublina

M. A. JAWORSKI: — Witam serdecznie panów i cieszę się, że inicjatywa naszej redakcji spotkała się z pozytywnym odzewem. Proponowałbym, aby na wstępie rzucić kilka liczb. Lubelski Oddział ZLP skupił obecnie...

T. Jasiński: — 24 członków i dziewięciu kandydatów. Poza tym trójka literatów z naszego regionu należy do Oddziału Warszawskiego.

M. A. J.: — Porównując z dawnym ZLP...

T. J.: — W dawnym ZLP nasz oddział liczył także 24 członków, a jedna osoba należała do Oddziału Warszawskiego. No, ale wówczas nie mieliśmy kandydatów, bo statut ZLP ich nie przewidywał. Ażby uprzedzić dalsze pytania, dodam, że siedmiu członków dawnego ZLP nie przystąpiło do nowej organizacji, albo może inaczej: nie wznowiło członkostwa. Czynniliśmy wiele, aby ich do tego zachęcić, i dalej z całą mocą podkreślaliśmy, że mają do nas drogę otwartą.

M. A. J.: — Czyli w liczbach stan się wolaściwie nie zmienił, ale do nowego związku nie weszli też ludzie o znaczącym dorobku literackim.

Adolf Lekki: — Tak, i bardzo nad tym ubolewamy. Wiemy, że kierowali się oni różnymi pobudkami. Niektórzy spośród nich sądzili, że nowy ZLP nie skupi w swych szeregach wielu spośród członków dawnego ZLP, a więc może lepiej przeczekać i w roli obserwatora patrzeć na dalszy rozwój wydarzeń. Niekiedy kierowano się więzami koleżeńskimi: Y nie wstąpił, bo nie wstąpił X, i odwrotnie. Być może, że niektórzy uważali, iż wstępując do nowego związku, automatycznie będą musieli przyznać, że uprzednio nie mieli racji.

Henryk Makarski: — Mam swój punkt widzenia na sprawę. I w przeszłości nie wszyscy literaci należeli do ZLP, chociaż całkowicie spełniali warunki statutowe. Są samotnicy, którzy uważają, że nieważna jest sama przynależność, ale książki, które wychodzą spod ich pióra. Im żadne struktury organizacyjne nie są potrzebne. Niekiedy słyszę, że ten czy tamten nie wstąpił z przyczyn politycznych. Czy ktoś komu każe pisać peany na cześć ustroju? Ale prawo obowiązuje każdego: czy ktoś jest w danym związku czy nie jest, to i tak musi przestrzegać Konstytucji PRL.

T. J.: — Może już nie rozszerzamy tego tematu, ale chciałem podkreślić, że byłibyśmy radzi, aby i ta siódemka, która ciągle jest poza związkiem, znalazła się w naszych szeregach: w Oddziale Lubelskim czy Warszawskim. Zresztą ta siódemka nadal tworzy i drukuje w oficjalnej prasie i oficjalnych wydawnictwach. A jeśli chodzi o dorobek: znaczący, nieznaczący... Byłbym ostrożny w formułowaniu jakiegokolwiek opinii, w szufladkowaniu. Przyszli do nowego związku ludzie młodzi, wartościowi, coraz bardziej znani w kraju, drukujący swe utwory w czołowych pismach literackich, odnoszący sukcesy w konkursach. Dokonuje się zmiana pokolenia. W Lublinie. W Polsce. To jest zupełnie naturalne zjawisko, wynikające z upływu czasu.

Ryszard Jegorow: — Słusznie. Nikogo nie przeswietlimy rentgenem, zresztą nie ma potrzeby, aby wchodzić w buty do czyjegoś wnętrza. Ja sam od trzydziestu lat piszę, a w związku jestem dopiero bodaj od 1975 roku.

M. A. J.: Nie lekceważyłbym jednak samej polityki, chociaż też daleki byłbym od tego, aby każdą decyzję niewstąpienia do nowego związku pod tym kątem oceniać. Jedni mają stałe poglądy, a drudzy potrafią je zmieniać, i to krańcowo. Przykłady można mnożyć, nie sięgając nawet do pokolenia tzw. „przyszatych” (np. Woroszyłski).

Waldemar Michalski: — Niezależnie od wszystkiego, o czym tutaj mówimy, nasz związek, dawny czy nowy, przynajmniej na naszym terenie, nigdy nie tracił z pola widzenia wszystkich ludzi piszących. Jeśli ktoś, należący czy nie należący do nowego ZLP, osiąga sukces, to ten sukces cieszy i to nie wynika tylko z lokalnego patriotyzmu. W gruncie rzeczy stanowimy wspólnie

notę koleżeńską i ja uważam, że jeżeli ktoś do ZLP dzisiaj nie należy, to nie należy tylko czasowo.

T. J.: — Powiedziałbym więcej: ci, którzy nie należą, również uczestniczą w spotkaniach autorskich, mogą też starać się o stypendia twórcze. I te stypendia dostają. Trudno więc twierdzić, że kogokolwiek dyskryminujemy.

M. A. J.: — Nie należąc do związku, można być nawet hołubionym, i to nie tylko przez określone kręgi poza krajem. Walka ideologiczna ciągle się toczy, bo nie żyjemy izolowani na wyspie, a współczesny świat jest bardzo skomplikowany.

A. L.: — A czasem tzw. nawróconych bardziej się nawet docenia niż tych, którzy stale mają te same poglądy.

H. M.: — Nawet pisma mające w nadtytułach: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” nie patyczkują się z literatami stojącymi na gruncie socjalizmu. W pismach, określiłbym, nielwicowych krytyka literacka wobec swoich jest bardziej wyważona w myśl zasady: kruk krukowi oka nie wydziobie. Pozostawmy jednak ten temat. By-

W dniach 25—26 lutego będzie obradować w Warszawie Zjazd Związku Literatów Polskich. Z tej okazji zaprosiliśmy do redakcji „Kamena” członków Zarządu Lubelskiego Oddziału ZLP: Tadeusza Jasińskiego (prezesa), Ryszarda Jegorowa, Adolfa Lekkiego (wiceprezesa), Henryka Makarskiego (sekretarza) oraz Waldemara Michalskiego (skarbnika), z prośbą, aby przedstawili dotychczasowy dorobek oddziału, a także, aby zaprezentowali problemy i doświadczenia ruchu literackiego naszego regionu. Z ramienia redakcji poza Tadeuszem Jasińskim, który jest równocześnie kierownikiem działu literackiego „Kamena”, uczestniczył w dyskusji Marek Adam Jaworski, redaktor naczelny pisma, który też tę dyskusję zrelacjonował.

la tu mowa o zmianie pokolenia. Staraniem Lubelskiego Oddziału ZLP ukazało się w minionym roku dziesięć zbiorów poetyckich. Trzeba podkreślić pomoc finansową Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego i za tę pomoc serdecznie mu podziękować. Najmłodsza debiutantka ma siedemnaście lat. Oczywiście trudno prorokować, co z tej młodzieży wyrośnie, ale przecież nasz Klub Literacki skupia dziś około 50 osób, mamy więc dobre zaplecze. Sądzę, że nawet lepsze niż w innych, większych od naszego ośrodkach.

M. A. J.: — Lublin wybrał już delegatów na zjazd. Pojadą...

T. J.: — Ryszard Jegorow, Adolf Lekki, Longin Jan Okoń, Matylda Welna i ja. W sumie pięć osób.

A. L.: — Pojedziemy na zjazd w przekonaniu, że mamy już poza sobą najtrudniejszy etap prac organizacyjnych. Związek nasz okrzepł, nawiązał współpracę z innymi organizacjami literackimi bratnich krajów socjalistycznych, wyszliśmy więc z izolacji. Gdybym miał zabrać głos na zjeździe, poruszyłbym kilka problemów. Przede wszystkim problem krytyki, rzetelnej krytyki, której brak odczuwają koledy spoza Warszawy. Krytycy chętniej recenzują książki z wydawnictw śródlęcznych. Inne zagadnienie: problem tłumaczeń. Kto właściwie decyduje o tym, którą pozycję zaproponować do przełożenia na obce języki? Promocja polskiej książki za granicą to nie tylko zajęcie dla Agencji Autorskiej. Osobna sprawa, bardzo bolesna, to sam proces wydawniczy. Ile lat można czekać na wydanie książki? Słyszysz się o ścieżkach szybkiego druku. Który autor, która książka tą ścieżką kroczy? Wróć jeszcze na moment do tych literatów, którzy są poza związkiem. Oni nadal będą korzystać z naszej opieki. Przechodzi tu na myśl taki termin: polifonia, inaczej: wielogłosowość. W muzyce jest to technika kompozytorska, polegająca na łączeniu w jedną muzyczną całość kilku jednocześnie brzmiących samodzielnych melodii. Muzyczna całość to nasza literatura, a melodie to poszczególne utwory, poetyckie czy prozatorskie.

W. M.: — Ja właśnie oczekuję zdecydowanego podkreślenia przez zjazd jedności polskiej literatury, bez względu na aktualne miejsce tworzenia, publikowania oraz zamieszkania autora. Przecież i na obczyźnie pracuje wielu polskich pisarzy, a granice naszego państwa nie są i nie mogą być jedno-

znacznie granicami literatury polskiej. Poza krajem znajduje się dziś ponad dziesięć milionów rodaków zachowujących mowę swoich przodków. Wśród nich są także twórcy piszący po polsku. Sugeruje się czasem, że to, co tworzy się na Zachodzie, jest wrogiem Polsce. Takie rozumowanie jest błędem.

M. A. J.: — Nie wogólniajmy! Oczywiście błądem jest twierdzenie, że na Zachodzie powstają jedynie utwory wymierzone przeciwko Polsce. Ścisłej — Polsce Ludowej, a istnieją tylko takie. Ale przecież i przez granice, również na falach eteru, przetrkają utwory może mniej literackie, a bardziej polityczne, mające na celu skłócanie Polaków, ożywianie starych „sentymen-tów”, a co gorsza — jętrzenie!

W. M.: — Mam na myśli tylko wartościowe utwory literackie, a nie takie czy inne agitki. Pod koniec ubiegłego roku Instytut Wydawniczy PAX w Warszawie opublikował powieść Danuty Mostwin pt. „Cień księdza Piotra”. Autorka stale mieszka w Baltimore w USA, a książka jest znakomita, jej akcja toczy się w Lublinie pierwszych lat naszego wieku. Śmiem twierdzić, że

jest to najlepsza powieść, jaką ostatnio napisano o Lublinie. Powstała jednak na obczyźnie. Przypadek? Być może. W Brukseli stale mieszka Marian Pankowski. Jego powieść pt. „Matuga idzie” tłumaczona była na wiele języków i stała się bestsellerem. Pankowski „Matugę” opublikował w 1983 r. w Wydawnictwie Lubelskim. Teksty swoje drukuje także w naszym „Akencie”. Ale ani Danuta Mostwin, ani Marian Pankowski, nawet gdyby chcieli, nie mogliby należeć do Związku Literatów Polskich. Nie daje im takiej szansy obecny statut ZLP. W trakcie obrad zjazdu warto się nad tym poważnie zastanowić.

H. M.: — Ale dostrzeżono te książki w Polsce, skoro ukazały się w Warszawie i w Lublinie.

W. M.: — Oczywiście, że to należy pochwalić. Ale czy nie czas, by przypomnieć współczesnemu czytelnikowi polskiemu Józefa Łobodowskiego, rówieśnika Czechowicza, mieszkającego dziś w Madrycie? On ma wspaniałe wiersze, pełne liryzmu i tęsknoty do miasta swojej młodości.

M. A. J.: — Łobodowski sam się skazał na emigrację. Może przyjdzie pora, że i jego wiersze ukażą się w kraju, ja go jednak znam przede wszystkim z chorobliwej wprost nienawiści do wszystkiego, co dzieje się w Polsce Ludowej. Mnie też poświęcił przed kilkoma laty paszkwilantki tekst. Zresztą wyspecjalizował się w tej dziedzinie „twórczości”.

W. M.: — Jest też Wacław Iwaniuk, były chelmski z szkoły KAJ-a, obecnie stale mieszkający w Kanadzie. Co pewien czas podnoszona jest kwestia wydania wierszy Iwaniuka. Jak do-tąd, bez sprzeciwu, ale i bez pozytywnego skutku.

M. A. J.: — Ale wiersze Iwaniuka można już znaleźć w polskiej prasie. Gdzieś coś niedawno czytałem, bodaj w „Znaku”.

W. M.: — W ostatnich latach wielu pisarzy opuściło nasz kraj. Wielu z nich kreuje się — ja to też dostrzegam — na polityków i w tej roli są żenująco śmieszni. Ani pisarze, ani politycy! Opadną emocje i co pozostanie? Dla pisarza najbardziej istotną kwestią jest jego twórczość. Wracając do zjazdu, myślę, że stanie się on poważnym forum, na którym przede wszystkim będzie się mówiło o sprawach literatury, o powinnościach i oczekiwaniach pi-

sarzy. Myślę, że warto jeszcze raz zastanowić się nad niektórymi punktami statutu ZLP. Za dużo w nim wykręślających rozstrzygnięć, np. wykreślających ze środowiska ZLP tłumaczy, historyków i teoretyków literatury i teatru. Współczesny statut ZLP wyeliminowałby z grona literatów np. Juliusza Kleimera, wybitnego polonistę, który przeszedł Oddziałowi Lubelskiemu w latach 1945—1949. Właśnie w tym roku przypada setna rocznica jego urodzin. Może zastanowić się nad nagrodą imienia Kleimera dla krytyków literackich?

M. A. J.: — Michalski nas zagadał.

R. J.: — Mówi się tu o sprawach wielkich, ale są i bieżące, pozornie małe, ale ważne dla samej egzystencji pisarza. Można pisać podania o stypendia, można je nawet otrzymywać, ale mnie nie odpowiada rola żebrzącego. Moje książki są poczytne, ale nakłady znacznie niższe od tych, jakie chciałoby zamówić składnica księgarska. Ja zarobię i wydawnictwo zarobi, interes jest wspólny. Papier? A ile go zużywa machina biurokratyczna?

M. A. J.: — Są pisarze, którzy nie wydają książek i nie starają się o stypendia. Odcinają kupon i głównie żyją ze spotkań autorskich.

H. M.: — Ale tu czasem potrzebny jest tupet i znajomości! No i nie każdy pisarz, nawet najznakomitszy, potrafi nawiązać bezpośredni kontakt z czytelnikami. A bywa, że pisarz z bardzo małym dorobkiem mówi niezwykle sugestywnie. Ważne jest też nie tylko kto mówi, ale do kogo mówi i gdzie mówi.

M. A. J.: — I co mówili? Rozumiemy się chyba...

T. J.: — W spotkaniach autorskich, które organizuje nasz związek, dbamy, aby i spotkania, i fundusze na nie rozdzielać równomiernie wśród poszczególnych pisarzy. W ubiegłym roku było takich spotkań w sumie około 200.

W. M.: — Zgadzałem się z kolegą Jegorowem. Pisarz nie potrzebuje jałmużny, chce żyć za to, co zapracuje. Kiedy wydłuża się okres wyczekiwania na wydanie książki, automatycznie spadają zarobki, chociaż ostatnio coś się zmienia w tym względzie. Nie wiem jednak, czy rewaloryzacja honorarium przy obecnej inflacji wyrówna wszystkie straty?

T. J.: — Zmienia się i to poważnie! Nowe stawki autorskie świadczą o tym najlepiej. Trzeba pochwalić Zarząd Główny, że ta sprawa ruszyła wreszcie z martwego punktu.

R. J.: — Dobrze, bo książka jest towarem. Ale wydawca ma furtkę w postaci widełek może płacić mało, średnio albo dużo. Zresztą co dzisiaj jest „dużo”? A z poligrafia to istny cyrk! Oddaje książkę, a wydawca mówi: niech pan sobie zalałwi drukarnię. Znajduję drukarnię i słyszę: jak pan skróci książkę, to ja weźmiemy do produkcji. To humor wisieleczy!

W. M.: — Była mowa o polifonii literatury polskiej. Niech w tym muzycznym dźwięku nie zabraknie i bazy poligraficznej!

M. A. J.: — Właśnie! Ale czas cofnąć naszą rozmowę, bo „Kamena” nie z gumy. Niechby wreszcie stała się typodrukiem! Rozwiązałoby to wiele problemów środowisk kulturalnych. Czego można życzyć literatom lubelskim?

T. J.: — Dalszego mecenatu władz wojewódzkich, pogłębienia kontaktów z czytelnikami, większej penetracji przez nas zakładów pracy, środowisk robotniczych, popularyzowania naszego dorobku w środkach masowego przekazu...

M. A. J.: — A ja wam życzę przede wszystkim dobrego pomysłu twórczego i nadawania tym pomysłem odpowiedzialnego kształtu literackiego. Mogą zdarzyć się i ubuw-paty, ale gdzie ich nie ma? Krytykujemy się nawzajem, ale rzeczowo, z odpowiednią argumentacją. Nie fałszujemy rzeczywistości i wykażemy więcej wzajemnego zrozumienia.

R. J.: — Fajka pokoju!

M. A. J.: — Ryszardzie, nadymiliśmy już chyba dobytek!

R. J.: — Ja nie palę!

Spojrzenie z Warszawy

— Ponad dwa lata minęły od chwili powstania nowego, czy lepiej może powiedzieć — w nowym kształcie — Związku Literatów Polskich. Przez ten czas pełnił pan funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego. Jaki to był związek?

— Przede wszystkim był to związek kształtujący się, w jakimś sensie i nowy, i stary, ponieważ ogromną większość jego członków stanowią koledzy, którzy byli także w dawnym związku. Początki były, rzeczwiście, trudne. Przeżyliśmy bolesnie rozwiązanie dawnego ZLP. Zaczynaliśmy od około 100 członków, obecnie związek liczy przeszło 800. Szczególnie interesujące wydaje mi się to, że znaleźli się w nim koledzy, którzy nigdy przedtem do ZLP nie należeli. Jest to w istocie nowa generacja w literaturze. Komisja Kwalifikacyjna otrzymała około 300 podań; przyjęto około 200 pisarzy, którzy debiutowali już w ostatnich latach.

— Byli to ludzie głównie młodzi...

— Tak, ale było także kilkadziesiąt osób, które od dawna parali się pisaniem, choć z różnych powodów nie wstępowały do dawnego ZLP. Wydaje mi się, że czasy kryzysu, i to jest chyba jakoś zrozumiałe, tworzą pewne sytuacje zwrotne. Jestem zdania, że mamy w literaturze polskiej do czynienia z końcem pewnej epoki, którą, być może, w przyszłości badacze literatury nazwą epoką 40-lecia. Ten koniec epoki, to także zmiana hierarchii literackich ukształtowanych na przełomie lat 50-tych i 60-tych. Obecnie przyszło do literatury wielu ludzi nowych, próbujących inaczej patrzeć na rzeczywistość, często kontrowersyjnie, to zresztą bardzo dobrze. Ci nowi pisarze nie mają nawyków środowiskowych, ukształtowanych na przestrzeni 40 lat. Inaczej patrzą na wiele spraw związanych z życiem tego środowiska.

Rozszerzając związek o wielu nowych członków, kształtowaliśmy tym samym jego charakter. Nasz związek, podobnie jak poprzedni, zrzesza rozmaitych pisarzy, i światopoglądowo, i w trendach literackich, różnorodnych; pisarzy nurtu lewicowego, pisarzy katolickich, pisarzy niejednociele patrzących na rzeczywistość. Ta różnorodność życia literackiego jest chyba sprawą podstawową i najważniejszą.

— Wielu członków byłego ZLP nie wstąpiło jednak do nowego związku. Słyszysz się głosy, oczywiście, wśród pisarzy będących członkami obecnego ZLP, że popełniono pewne błędy w okresie kształtowania się związku (zbyt pochopne sądy, posądzenie o rzeczy, które w istocie w chwili powstawania związku nie miały już miejsca, np. wydawanie w tzw. „drugim obiegu”). Kierował pan dotychczas Komisją Kwalifikacyjną związku. Jakie najtrudniejsze problemy pojawiały się w jej pracach?

— Nie mieliśmy w Komisji Kwalifikacyjnej przypadku odrzucenia jakiegokolwiek podania ze względów politycznych. Z 329 podań, jakie nadeszły, odrzuciliśmy wprawdzie dość sporo (ponad 100), ale wyłącznie ze względów artystycznych i z braku podstaw statutowych do przyjęcia w szeregi ZLP. Spore znaczenie ma tu instytucja kandydata. Obecnie mamy ich już w związku około stu, są to w większości ludzie młodzi.

Jeśli chodzi o tych kolegów, którzy pozostali poza związkiem, a jest wśród nich wielu moich przyjaciół, to ich powody są rozmaite. Wydaje mi się jednak, że najmniejszej grupy dotyczą powody, które traktujemy jako polityczne. Pisarze, którzy zaangażowali się obecnie w działalność nie tyle literacką, co polityczną, z natury rzeczy nie zechcą należeć do związku. Ale jest ich niewiele. Natomiast niektórzy nie wstępują ze względów towarzyskich, układów środowiskowych, albo dlatego, że związek nie jest im potrzebny. Wydaje mi się, że po zjeździe wielu kolegów, pozostających dotychczas poza związkiem, widząc jego otwarty charakter, zdecydują się na wstąpienie, odnowienie członkostwa.

Druk w wydawnictwach podziemnych czy emigracyjnych nie jest, jak wiadomo, w Polsce przeszkodą do uprawiania działalności literackiej. Mamy przecież pisarzy, którzy wydawali w tzw. drugim obiegu, a obecnie wydają w państwowych oficynach. Wydaje mi się, że zasada, iż ocenia się książkę, a nie postawę pisarza, jest zasadą obowiązującą naszej polityki kulturalnej. Oczywiście, można uważać za moralnie kontrowersyjne lub wątpliwe wydawanie i w jednym, i w drugim obiegu...

— Jednocześnie? Nie jest to w zasadzie możliwe.

— To nie jest w zasadzie możliwe, ale... mogłoby się zdarzyć. A poza tym są pisarze, którzy pozostali na emigracji zewnętrznej czy wewnętrznej, a których dawne książki trwają w literaturze polskiej i przetrwają.

Zresztą wydaje mi się, że czasy kryzysu wymagają szczególnie otwartej polityki kulturalnej. Kryzys ma to do siebie, że rozmaicie można patrzeć na jego przyczyny i jego przebieg, jak i psychologiczne skutki. Literatura kontrowersyjna, literatura odważna, któ-

wydawaniu książek, ale także możliwość stwarzania żywo tętniącego życia literackiego. Chodzi o powstające czy już istniejące kluby literackie przy ZLP. Taki klub istnieje przecież w Lublinie.

— W Lublinie sytuacja młodych, zwłaszcza poetów, jest dość korzystna. Ukazują się tomiki, i to w dosyć niedługim czasie. Ale w innych środowiskach, o ile wiem, nie wygląda to tak dobrze.

— W innych oddziałach rzeczywiście wygląda to gorzej, choć powstają już te kluby literackie. Młodzi pisarze to przecież przyszłość naszej literatury. Ich problemy będą jedną ze spraw, które znajdą się w centrum naszych zainteresowań w czasie zjazdu.

— Może, skoro wspominał pan już o Lublinie, zechce pan powiedzieć, jakie jest pańskie widzenie czy pana opinia dotycząca lubelskiego środowiska literackiego?

— Lubelski Oddział związku uważam za jeden z ciekawiej pracujących. Byłem w Lublinie, byłem na zebraniu oddziału i na zebraniu Klubu

Rozmowa ze Zbigniewem Safjanem

ra z natury rzeczy nie wszystkim musi się podobać, jest niezbędna. Wydaje mi się, że w zasadzie polska optyka kulturalna na tym polega, o czym świadczy właśnie ukazywanie się książek, które mogą budzić rozmaite niepokoje. Jednym z zadań Związku Literatów jest popieranie tego trendu. Musimy mieć teraz literaturę odważną, i to jest chyba najistotniejsze.

— Powiedział pan, że części pisarzy związek nie jest potrzebny. Ale dla wielu pisarzy jest potrzebny, często z powodów, nazwijmy to, bytowych, socjalnych?

— Jednym z podstawowych zadań związku jest troska o materialną sytuację pisarza, o jego status społeczny. Wydaje się, że w tym zakresie Zarząd Główny zrobił sporo, starał się działać w rozmaitych kierunkach. Najbardziej ewidentnym i oczywistym osiągnięciem jest zmiana konwencji autorskiej. Ta zmiana umożliwi pisarzowi wyższy standard życiowy. Zasady konwencji są znane; honorarium za arkusz wydawniczy będzie się zmieniało w zależności od zmiany przeciętnej płacy w Polsce. Ważnym osiągnięciem są także ulgi podatkowe...

— Przysługujące tylko członkom Związku Literatów?

— Niektóre przysługują wszystkim pisarzom. Członkom ZLP przysługuje tylko zwolnienie z podatku od wynagrodzeń przy honorariach zasadniczych do 300 tys. Zresztą, proszę zauważyć, większość tych materialnych osiągnięć dotyczy nie tylko członków związku, ale w istocie rzeczy całego środowiska. Staramy się o złagodzenie trudności mieszkaniowych. Pod tym względem wiele robi Oddział Warszawski, który przystąpił do założenia literackiej spółdzielni mieszkaniowej. Te sprawy są podejmowane również w innych oddziałach. Istotnym osiągnięciem związku są także kontakty zagraniczne, umożliwiające pisarzom, członkom związku, dość częste wyjazdy.

— No właśnie, wrócił pan niedawno z Budapesztu, gdzie zostały podpisane umowy w takich sprawach...

— Tak, podpisaliśmy umowę z Węgrami, ze Związkiem Radzieckim, obejmującą bardzo wiele wyjazdów. Podpisaliśmy — co jest sprawą zupełnie nową — umowę z Chinami, na wyjazdy i na przekłady literatury.

Istotną w końcu jest troska o młodych pisarzy. Oczywiście, chodzi nie tylko o pomoc materialną, pomoc w

Młodych. Wydaje mi się, że ten oddział doskonale współpracuje z miejscowymi władzami. Uzyskał środki materialne na owe debiutanckie prezentacje. Chciałbym, żeby w innych regionach tak tętniło życie literackie, zwłaszcza młodych, jak w Lublinie. Zresztą „Kamena” jest pismem umożliwiającym publikowanie młodym i gdzie w ogóle sporo przecież miejsca poświęca się sprawom literackim.

— No, „Kamena” nie jest już wprawdzie obecnie pismem literackim, jakim była niegdyś, ale rzeczywiście związki pisma z lubelskim środowiskiem literackim są stale żywe.

— Wszystkie oddziały ZLP upominają się — co jest zupełnie zrozumiałe — o posiadanie pisma, w którym mogłyby się wypowiadać. To jest także sprawa bardzo istotna. Brak nam tygodnika ściśle literackiego, w którym moglibyśmy się wypowiadać. Są to stałe kłopoty środowiska literackiego.

— Zbliża się Zjazd ZLP, wiadomo, że wszyscy członkowie związku wiążą z nim swoje nadzieje, oczekiwania, rozmaite natury i rozmaitej wagi. W rozmowach, wypowiedziach pisarzy, np. w środowisku lubelskim, pojawiają się często problemy wcale nienowoczesne, ale wciąż trudne: ciągnące się latami procesy wydawnicze i łączące się z tym sprawy materialne pisarzy, problemy krytyki, tłumaczeń — jakiegoś ich rozwiązania na pewno oczekują pisarze od zjazdu. W jakiej mierze te sprawy znajdują miejsce w obradach zjazdu?

— Będą, oczywiście, jak najbardziej obecne. Sprawy poligrafii, wydawnictw są częścią tego zjawiska, które nas wszystkich niepokoi, zjawiska opóźnienia w rozwoju materialnej bazy kultury w Polsce. Poligrafia wymaga ogromnych inwestycji. Jak wiadomo, istnieje już zatwierdzony plan inwestycyjny. Mamy nadzieję, że nastąpi poprawa w sytuacji książki polskiej.

— Ale czy są już jakieś konkretne, rzeczowe postanowienia zmierzające ku temu, żeby książka potrzebna, na którą jest zapotrzebowanie, ukazywała się w ciągu przynajmniej roku, a nie trzech, czterech czy więcej lat? Oczywiście, to pytanie może niezupełnie do pana...

— No tak, nie do mnie. Co może zrobić związek, to wywierać nieustanny nacisk na władze administracyjne i polityczne, aby sytuacja w poligrafii stale się poprawiała. Nasi członkowie

biorą udział w Narodowej Radzie Kultury, Komisji Kultury KC, Sejmiku, PRON i wszystkimi sposobami starają się tam naciskać. Możemy powiedzieć, że mamy nadzieję, i takie pytanie, jakie pani mi zadała, zadajemy nieustannie naszym władzom. Mamy obietnicę „szybkiej ścieżki” drukarskiej dla literatury współczesnej. W artykule Witolda Nawrockiego w „Życiu Literackim” mówi się, że 180 członków ZLP czeka obecnie na wydanie książki, jest to bardzo dużo. Ale przecież opóźnienia, o których mówimy, dotyczą nie tylko książki, także filmu, telewizji, które niezmiernie interesują pisarzy. My jesteśmy nie tylko czytelnikami, jesteśmy także oglądani.

A więc mamy tu do czynienia z szeregiem problemów; szybkością druku, ceną książki, poziomem czytelnictwa, wysokością honorariów autorskich. Wszystkie te sprawy będą z pewnością omawiane na zjeździe, ale nikt z nas nie chciałby, żeby problemy materialnej natury stały się jego główną treścią. Ta główna powinna i musi stać się sytuacja literatury, sytuacja w literaturze, jej obecny stan.

— Jako przewodniczący komisji przygotowującej zjazd zechce pan może powiedzieć, jakie zasadnicze referaty zostały przewidziane czy zaplanowane z dziedzin problemów dotyczących stanu i kształtu naszej literatury?

— Nie chodzi nam, oczywiście, o planowanie zjazdu, ale z pewnością będziemy mieli wypowiedzi dotyczące sytuacji w literaturze od końca lat siedemdziesiątych. Wypowiedzi dotyczące tego, co osiągnęliśmy przez ten czas, a w istocie nie jest to tak mało; ukazało się sporo interesujących książek, było wiele ciekawych debiutów. Myślę, że zjazd podejmie próbę oceny tego, co się stało w literaturze, a w moim przeświadczeniu dokona także oceny zwrotu, zakończenia pewnej epoki w literaturze i podejmie zapewne także próbę oceny zmian w strukturze środowiska literackiego.

— Jakie to zmiany, o których pan mówi, do czego się one sprowadzają?

— Przychodzi do literatury nowa generacja pisarzy. Jest więc rzeczą niesłychanie ważną, jakie to pokolenie i jaka będzie to literatura. I jaka już jest ta literatura. Wreszcie, jak to pokolenie widzi rzeczywistość i jak próbuje ją oceniać, słowem — jakie są najważniejsze trendy, najbardziej mocne i przyszłościowe.

— Ale czy to rzeczywiście można w takiej dziedzinie oceniać i prognozować na podstawie debiutanckich tomików poezji czy pierwszego tomu prozy?

— Sądzę, że można prognozować. Obecne debiuty, także w poezji, wydają się dość interesujące. Poetów mamy, co prawda, straszliwie mało, spośród nowych członków ZLP przynajmniej 70 proc. Z tym, że — jest to zjawisko normalne — sporo w tej poezji rzeczy wtórnych, choć w wielu przypadkach pojawiają się wartości rzeczywiście nowe, odkrywcze.

— Czy nie należałoby zatem tych wartości nowych, odkrywczych, a raczej tych twórców, jakoś holować, ułatwiać im wydawanie i promować ich twórczość?

— No, nie. Związek musi dbać o wszystkich swoich pisarzy jednakowo. I niezależnie od wartości dokonanej o wszystkich troszczyć się w tym samym stopniu.

— Trzeba przyznać zatem, że sytuacja pisarza, członka ZLP, jest w sumie bardzo korzystna, skoro związek dba o wszystkich i obmyśla stale rozmaite sposoby pomocy, uszczelniania trudności...

— Mieliby pisarze, oczywiście, sytuację doskonałą, gdyby wszystkie działania związku były skuteczne, a nasze władze administracyjne realizowały nasze dezyderaty, ale tak, niestety, nie jest. Mamy jednak nadzieję, że w przyszłości będzie lepiej: tak się zawsze mówi, ale myślę, że w tym wypadku ten umiarkowany optymizm jest być może uzasadniony.

Rozmawiała: Lidia Wójcik

NIE wiedząc, jak i po co, Czerwiński znalazł się w sali lekcyjnej, powoli wstąpił na katedrę Usiadł ciężko. Przed nim była pustka. Przed paroma dniami młodzież — z radosnym krzykiem: feriel feriel — rozpięchła się po całym kraju. Do rodzin na wsi. Na obozy harcerskie. Na zimowiska. Czerwiński wsparł łokcie na stole. Twarz ukrył w dłoniach. Zamknął oczy. Pustka go nie raziła. On i teraz widział swoich wychowanków tych najlepszych, dobrych i beznadziejnie tępych w dziedzinie chemii. Oto w ostatniej ławce siedzi Heniek Skorus. To on na pierwszej lekcji zadał mu „podchwytliwe” pytanie: „Panie psorze, jeśli tlen podtrzymuje palenie a wodór się pali, to dlaczego woda gasi ogień?” W przyszłości Heniek może być niezłym chemikiem. Mądrała. Mogłby wymienić jeszcze kilka nazwisk rokujących nadzieje. Niestety. Jedno wypiera przesłania wszystkie pozostałe: Adam Czerwiński. Wysoki dryblas o przyszczatej twarzy. Jego własny syn. Antytalent chemiczny. W ogóle antytalent pracowitości. „Ojciec jest profesorem, ani on, ani jego koledzy nie zrobią mi krzywdy” — zwykł mówić.

„Kiedy i w jaki sposób straciłem kontrolę nad jego wychowaniem?” — zapytał siebie półgłosem. W myślach zaczął się oskarżać: „Nie poświęcałem dostatecznie dużo uwagi synowi”. Natychmiast zjawiała się samoobrona: „Krystyna go rozpieściła. Spełniała wszystkie jego zachcianki. Ukrywała przede mną przewinienia”. Zawstydzil się tej myśli. Najłatwiej zwałić winę na żonę. Po dwudziestu latach małżeństwa nadal ją kochał. Więcej: miłość wzmożona została przyjaźnią.

„Przyjaźń to misterium, cud jeszcze bardziej tajemniczy niż miłość. Przyjaźń rzuca na ciebie niezbadany urok, dzięki któremu odnajdujesz siebie w innym człowieku i przywiązujesz się do niego jak do siebie samego. Prawdziwi przyjaciele mogą się sprzeczać, poróżnić, nawet wymyślać jeden drugiemu. Podobnie bywa gdy jesteśmy niezadowoleni z siebie samych, gniewamy się sami na siebie, a zarazem usprawiedliwiamy. Gdzie ja przeczytałem te słowa — myślał. — Co za bzdura. Bzdura?”

Wstał. Zaczął spacerować po podium przy katedrze. Myśli się rwały, wypierały jedna drugą. On jednak wiedział, że na nic się zda błądzenie po mównicach, umykanie przed tym, co i tak będzie musiał rozważyć. Stanął przy oknie. Na placu szkolnym leżała gruba warstwa śniegu, poszatkowana na dziesiątki ścieżek. Drzewa przywdziały białe czapy. Było pięknie, lecz jemu wcale niewesoło.

To się zaczęło przed dwoma tygodniami. Siedzieli w pokoju we troje: on, żona i syn. Nic nie zapowiadało awantury. On czytał gazetę, Adam rozwiązywał krzyżówkę a Krystyna zapisywała w notesie co przygotować synowi na obóz zimowy.

— Zaczę od poranków — powiedziała głośno. — A więc szcztoteczka do zębów, mydło, dwa ręczniki...

— To wszystko bzdurki — Adam rzucił długopis na stół. — Oświadczam wam, że nigdzie nie pojedę, jeśli nie otrzymam pięciu tysięcy złotych na drobne wydatki. Jestem synem profesora, to zobowiązuję.

— Co? — krzyknął Czerwiński. — Ty chyba masz źle w głowie!

— Głowę mam w porządku, czego nie można powiedzieć o tobie — głos syna był arogancki.

— Stał jak znoкауowany. Popatrzył na żonę. Była blada. Ręce jej drżały. Usta miała zacisnięte.

— Oto skutek twojej pobłażliwości — powiedział do niej. Nie mógł i nie chciał ukrywać rozgoryczenia. — Co z niego wyrośnie, jeśli już dziś nie szanuje ojca?

— Na pewno nie belfer — skwitował Adam.

— Adasiu, przeproś ojca! Natychmiast przeproś! — nie mógłby stanowczo stwierdzić, czy w głosie Krystyny przeważała prośba, czy też rozkaz.

— Przepraszam — powiedział syn obojętnie. Sklonił się przed nim ceremonialnie. Usiadł wygodnie w fotelu. Nogi wyciągnął przed siebie.

Tego już nie wytrzymał. — Usiadł przyzwójcie! — wrzasnął. — Żądam szacunku dla siebie! Dla matki! — Przebiegł kilka razy pokój. Całym wysiłkiem woli opanował wzburzone nerwy — Belfer belfer — głos mu się załamywał. — Co ty możesz wiedzieć o zawodzie nauczyciela?

— Dużo — odparł Adam. — Wiem, że to powołanie, misja społeczna, świętość, dzieł apostolstwa i „bodajżeś cudze dzieł uczył”. Za marne pieniądze

dzie Ojciec przyznał, ilu z twoich absolwentów — mających dzisiaj tytuły profesorskie pamięta o tobie? Kto ci przyjął słowa podziękowania za solidne podstawy wiedzy, które im dałeś? Milczysz?

— Co prawda, to prawda — powiedziała łagodząco Krystyna. — Ze swoim wykształceniem i tytułem naukowym mógłbyś w każdym zakładzie chemicznym zarobić dwukrotnie więcej, niż wynosi twoja profesorska gaża.

— Tego się nie spodziewałem!

Odszedł od żony. Zatrzymał się przy bibliotece. Niewidzącym wzrokiem wodził po grzbietach książek. Nie czytał tytułów. Wspominał początek lat siedemdziesiątych. Wtedy to, wspólnie z Krystyną, zdecydowali o przyszłości. Pamiętał, jak była dumna, gdy po raz pierwszy nazwano ją „panią profesorską”. I on był dumny. Nie przerażały go niskie zarobki. Najbliższa przyszłość miała być jaśniejsza, i pamię-

— Coś ci pokażę — wstała — Szybko podeszła do biurka. Spod stosu gazet wydobyla miejscową gazetę. Położyła ją. Wskazała jedno z ogłoszeń. Czytaj — poleciała mu. — Czytaj głośno.

— „Spółdzielnia Wyrobów Chemicznych „Jasne Jutro” ogłasza konkurs na stanowisko zastępcy dyrektora do spraw technicznych. Wymagane wykształcenie wyższe chemiczne...” przerwał czytanie. Popatrzył na żonę.

Czerwone goździki

Adolf Lekki

— Jak nazwać kraj — syn dolewał oliwy — w którym milicjant zarabia lepiej od profesora w szkole średniej? Mi-li-cyj-nym — odpowiedział sam sobie.

Czerwiński podszedł do syna. Długo patrzył mu w oczy. Wyczytał w nich tylko upór.

— Kto ci mać umysł takim myślamy? — zapytał cicho. — Brak w nich logiki. Górniczy oraz marynarze zarabiają więcej od milicjantów. Czy ten kraj trzeba nazwać „górniczomarynarskim”?

— Górniczomarynarskim! To nawet dobrze brzmi — chłopak plasnął w dłoń. Ojciec zrozumiał, że w tej chwili ani w ten wieczór nie zmieni jego sposobu myślenia.

— Idź do swego pokoju — powiedział stanowczo. — Chcę porozmawiać z matką.

Odczekał, aż syn zamknał za sobą drzwi. Podszedł do żony. Położył jej ręce na ramionach.

— Krysiu — odezwał się serdecznie — przy dziecku zganilaś mój zawód.

tał, z jakim zapalem, przerywanym wybuchami śmiechu, uczyli się oboje poematu cesarza Japonii Meiji, napotkanego w jakimś miesięczniku:

Yoki wo tori Asiki wo sutete

Totsukuni ni Otoranu Kuni to Nasu yoshi mo go

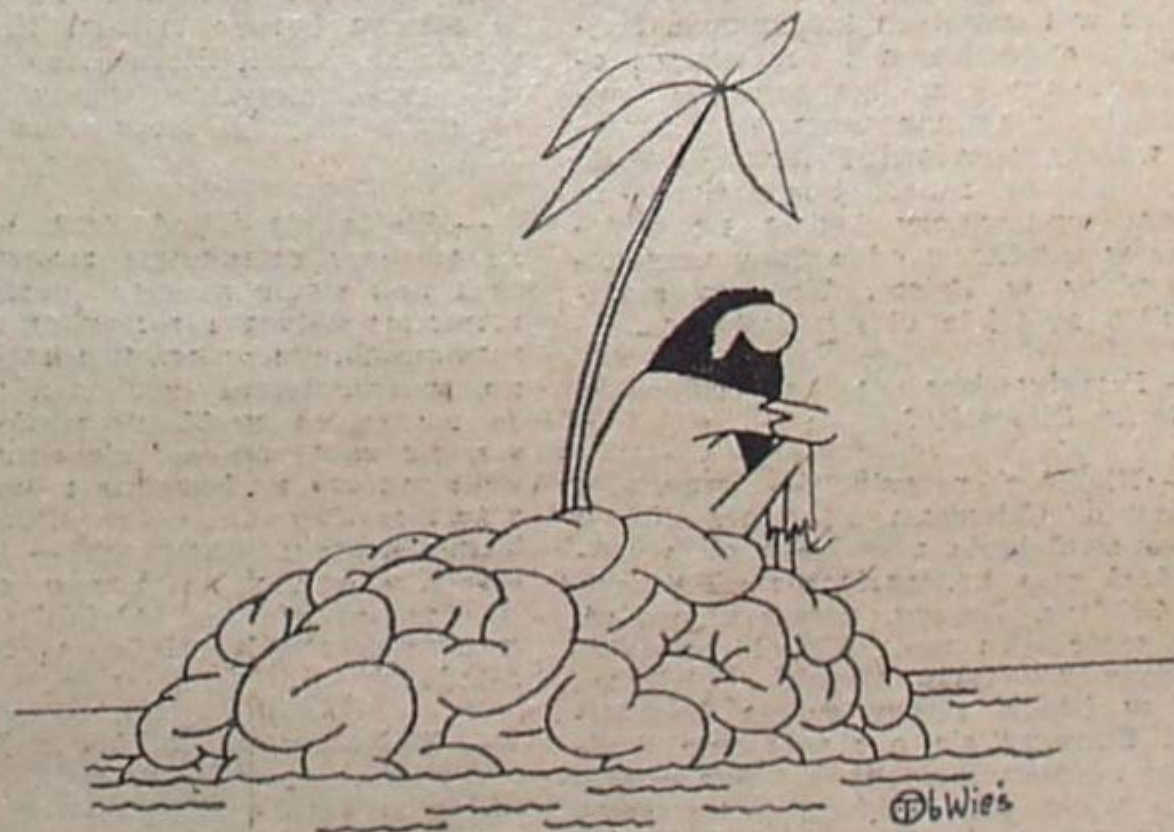
na. Nie zapomniał ani jednego obco brzmiącego słowa. Zadeklamował głośno, wyraźnie. Bezwiednie powtórzyła za nim po polsku:

Jeśli mój naród będzie umiał wybrać to, co dobre, a odrzuci to, co złe, wówczas nie będzie stał niżej od żadnego narodu świata.

— Nie zapomniałaś? — ucieszył się. — Prawda, ile w tym słuszności?

— Nie zapomniałam — przyznała. — Tym gorzej dla mnie. Nie zbudowaliśmy drugiej Japonii. Nie potrafiłmy wybrać tego, co dobre, a odrzucić, co złe. Dziś jest nam trudniej niż wtedy.

— Czy to moja wina? A jeśli tak, to powiedz mi o tym. Słucham.



Rys. Wiesław Fuglewicz

To był błąd. Nasz syn i tak jest na złej drodze.

— To dziecko — nie uwalniała się z uścisku — za pół roku otrzyma świadectwo dojrzałości, posiada już dowód osobisty. Musisz zrozumieć, że to dorosły człowiek.

— Jeśli jest dorosły, to mógł zarobić na osobiste wydatki, choćby przy odśnieżaniu ulic. On umie tylko sięgać do naszej kieszeni, narzekać, że ojciec mało zarabia.

— Wie co dla nas dobre.

— A ty? A ty? — pytał, nie puszczać jej ramion.

— I ja uważam, że powinienes zmienić pracę. Lata mijają. Czas pomyśleć o sobie.

— Uczyłeś młodzież przez tyle lat.

— Chemii! Chemii! — zawołał.

— Jak brud przemieniać w złoto? — zadrwiła.

— Krystyna!

— Nie unos się niepotrzebnie. Nie obarczam cię żadną winą, z wyjątkiem tej, którą przypisuję każdemu wychowawcy. Ale czas skończyć z belferką. Czas stanąć na nogi, jak wielu naszych znajomych. Mam dosyć kombinacji, jak związać koniec z końcem. Skąd wysupłać parę złotych dla dorosłego syna.

— Nie rozumiem — patrzył na nią zdumiony. — Mam skończyć z belferką? A co miałbym robić? Zostać gońcem w magistracie?

— Dlaczego kazałaś mi to czytać?

— Dalej jest mowa o wysokości zarobków. przeczytaj jeszcze ten fragment.

Spełnił jej żądanie. Kiedy poznał oferowaną pensję i ustawowe premie, poczuł lekki zawrót głowy. Tak, tego w żaden sposób nie można porównywać z profesorską gażą.

— Co z tego? — odłożył gazetę.

— Przystap do tego konkursu.

— Nie mam żadnych szans i... nie chcę.

— Już kilkanaście lat wykladasz chemię w ostatnich klasach szkoły średniej. Ta nauka nie ma przed tobą więcej tajemnic niż przed innym chemikami. Kiedyś marzyłeś o własnym laboratorium, o wielkich odkryciach. Czyżbyś o tym zapomniał? Gdzieś czytałam, a może słyszałam przez radio, że polska chemia, szczególnie w dziedzinie polimerów, osiągnęła światowe szczyty. To substancje XXI wieku. Z nich będzie się budować nawet powłoki statków kosmicznych. Wynalazcy są sławni. Ich nazwiska otacza ogólny szacunek. A polimery tak cię niedługo interesowały. Nie rezygnuj z szansy.

— Mówisz jak dziecko. Nic nie wiesz o roli zastępcy dyrektora do spraw technicznych w zakładzie produkcyjnym. Zwykle bywa obłożony papierkami, wobec których seszyty uczniowskie są fraszką. Musi przemawiać na zebraniach, użerać się z robotnikami, technikami, bywa, że nawet z dyrektorem naczelnym. Nie chcę. Nie i jeszcze raz nie!

— Jednak przyznasz, że w takiej spółdzielni chemicznej musi być laboratorium, że się tam przeprowadza jakieś doświadczenia. Kto ci zabroni włączyć się do nich? Albo rozpocząć swoje? Może ty sam, albo twój zespół dokona jakiegoś wynalazku. Prasa będzie o tobie pisać, staniesz się sławny. Adas miał rację, mówiąc, że dzisiaj nikt o tobie nie pamięta. Jesteś bezimienny.

— Czuję, że jego opór siabnie. Własne laboratorium. Polimery. Od lat nie spełnione marzenia. Jeszcze nie chciał się poddać.

— Ja nie wiem, jak się załatwia taki konkurs. Nie warto zwracać sobie głowy.

— Zostaw to mnie. Ja wszystko załatwię, byleś wyraził zgodę.

— Próbuje — powiedział z westchnieniem. Miał pewność, że tym razem żonie podwinie się noga. — A z tamtym gagatkiem — podniósł głos i wskazał na pokój syna — to ja jeszcze porozmawiam.

— I to błore na siebie — przytuliła się do niego. — Ty musisz mieć spokój, odpocząć przed nowym startem.

— Jak chcesz — odczuł ulgę. Nie znosił takich napiętych sytuacji.

Czas biegnie szybko. Szczególnie dla kogoś, kto ma rozpocząć nowe życie.

Idol i gwiazdy

Mirosław Derecki

Przed dwoma dniami żegnał się z Adamem, który wyjeżdżał na obóz zimowy. Nie pytał go o pieniądze i syn nie wspominał o nich ani słowem. Widocznie problem został rozwiązany. Nie było już powodu. Od pierwszego dnia po ślubie żona stała się bankiem, kasjerką oraz główną księgową domowych przychodów i wydatków. Nigdy jej nie kontrolował.

W dzień po wyjeździe Adama listonosz przyniósł mu list polecony. Był to tak rzadki przypadek, że nie śmiał otworzyć koperty przed powrotem Krystyny. Na razie odczytywał datę nadania przesyłki, a także pieczęć nadawcy: „Spółdzielnia Wyrobów Chemicznych „Jasne Jutro”.

Otrzymałem list polecony — zawołał, gdy żona wróciła z zakupami. Ze spółdzielni chemicznej.

— Co piszą?

— Nie wiem. Czekalem na ciebie.

— Ech, ty dzieciaku. — Rozerwała kopertę, szybko przeczytała list. Zarzuciła mu ręce na szyję. — Wygrałeś konkurs! A nie mówiłam? Do pracy możesz przystąpić natychmiast. Koniec naszej udręki! Zaczynasz nowe życie! Laboratorium! Polimery!

Ciesz się jej radością, a zarazem czuć w piersi chłód. W głowie miał pustkę. Coś się skończyło, coś bardzo ważnego.

— Jutro musisz pojechać do tej spółdzielni — zdecydowała Krystyna.

— Jutro? Jak to jutro. Do końca roku szkolnego jestem związany ze szkołą.

— Nie myśl o tym. Jakiegoś tam nauczyciela chemii szkoła znajdzie w każdej chwili.

— Jakiegoś tam? Więc ja byłem jakimś tam?

— No, nie. Ty byłeś wyjątkiem, ale nie ma ludzi niezastąpionych. — Krystyna przystąpiła do spraw praktycznych. — Odpis twego dyplomu wysłałam wraz z ofertą konkursową. Podanie możesz napisać na miejscu. Tylko życiorys musisz mieć z sobą. Siadaj i pisz.

— Nie można tego odłożyć?

— Ani o jeden dzień. Siadaj i pisz życiorys.

Rano, pobłogosławiony przez żonę, nakarmiony dziesiątkiem rad i pouczeń, wyszedł na przystanek autobusowy. Nie mógłby powiedzieć, w jaki sposób trafił do tej pustej klasy. Szcęk wiader oraz rozmowa sprząta-czek przywróciły mu świadomość. Oderwał się od okna. Przypominał sobie ostatnie słowa Krystyny:

— Pamiętaj, jedź prosto do spółdzielni, nie wstępуй nigdzie.

„Miał rację Bułgariń, mówiąc tak pięknie o przyjaźni” — pomyślał i uśmiechnął się mimo woli. Jeszcze przed chwilą nie mógł sobie przypomnieć nazwiska tego dekabrysty, który podczas procesu postawił przyjaźń ponad własną obronę.

W autobusie było dużo wolnych miejsc. On wolał stać przy oknie. Myśli. Myśli. Myśli. Wysiadł przed budynkiem poczty. Przeszedł na drugą stronę jezdnii. Minęła go grupka rozśmianych studentów. Nie zwrócił na nich uwagi. Drgnął, kiedy ktoś uchwycił jego dłoń.

— Panie profesorze! Czy pan mnie nie poznaje? Halina Tomczyk, cztery lata temu siedziałam w trzeciej ławce pod oknem. Przypomina pan sobie?

— Halina Tomczyk, tak, pamiętam. Co pani tutaj robi?

— Jestem na trzecim roku chemii. Panie profesorze, pan nawet nie wie, ile ja panu zawdzięczam. I nie tylko ja. Wszyscy, którzy słuchali pańskich wykładów. Proszę przyjąć ode mnie ten goździk. To pan profesor Czerwiński — przedstawiła go koleżankom i kolegom. — Niech pan profesor przyjmie ten kwiat. Niosłam go dziesięciemu solenizantowi, ale wolałam go ofiarować panu.

— Proszę przyjąć kwiat także ode mnie — powiedział czarniawy chłopak. — Nie słuchałem pańskich wykładów, ale slyszalem jak nasz profesor mówił: „Komu Czerwiński postawił dobrą notę, z tego będzie chemik”.

— I kwiat od mnie — wysoka studentka pochylała nisko głowę. — Pańskie nazwisko nie jest obce na wydziale chemii.

Młodzi odeszli. On stał zażenowany z czerwonymi goździkami w dłoni. Nadjechał jakiś autobus. Wsiadł, nie sprawdzając kierunku. Ocknął się na przystanku przed swoim domem. Wchodził powoli po schodach. Zadzwonił, choć miał klucz w kieszeni.

— To ty? — zdziwiła się żona. — Byłeś w spółdzielni?

— Zaczepiła mnie młodzież... — jękał się — znają mnie... wręczyli mi te goździki...

Zrozumiała.

— Nie gniewasz się?

— Ty stary, niepoprawny bejzrael!

DOŁE umierają młodo. Tragicznie zmarli w 1955 r., młodziemczy idol amerykańskiego kina, James Dean, kończyłby teraz właśnie, w lutym 1986 r., pięćdziesiąty piąty rok życia. Gdyby żył. Lecz życie dwudziestoczworoletniego „buntownika bez powodu”, w którego postaci i kreowanych przezeń rolach filmowych znalazły tak idealne odbicie nastroje, sposób myślenia, problemy, kompleksy i fobie pokolenia młodzieży z połowy lat pięćdziesiątych, przerwał w nagły, brutalny sposób wypadek samochodowy. Kariera aktorska Jamesa Deana trwała zaledwie dwieście dni; zginął — pędząc swym srebrzystym sportowym Porsche Spyderem z szybkością 200 kilometrów na godzinę.

Stał u progu zawrotnej kariery. Już po nakręceniu pierwszego filmu, „Na wschód od Edenu” (w 1955 r.), zabył się jako gwiazda aktorska pierwszej jasności, a młodzież okrzyknęła go swym idolem. W dwa tygodnie po śmierci Jamesa Deana wszedł na ekran następny film z jego udziałem — „Buntownik bez powodu” Nicholasa Raya, a w roku 1956 — „Olbrzym” George Stevensa, w którym Dean spotkał się na planie aktorskim z Elizabeth Taylor i Rockiem Hudsonem. Trzy filmy nakręcone w ciągu jednego roku, trzy wielkie dokonania reżyserskie Elli Kazana, Nicholasa Raya i George Stevensa, trzy kolejne wielkie role Jamesa Deana! — na tym koniec. A miał już James Dean w kieszeni kontrakt, podpisany z wytwórnią Warner Brothers, na dziewięć filmów w ciągu najbliższych sześciu lat, z tym że dwa filmy miał reżyserować on sam...

James Dean grał na ekranie — siebie. Chłopaka z prowincji amerykańskiej, z małego miasteczka lub wiejskiej farmy, młodego samotnego człowieka, pozbawionego miłości rodzicielskiej, buntownika — tylko pozornie — „bez powodu”, agresywnego i obrazoburczego, a przecież, w istocie, pełnego romantyzmu, wrażliwości i czułości. Takich ludzi jest pełno wśród nas. Pokazywali ich później, zafascynowani Deanem, liczni aktorzy. W Polsce — Zbigniew Cybulski i Daniel Olbrychski. Wiele z Deana miał w sobie poeta Edward Stachura, i może nawet, mniej lub bardziej świadomie, kreował się trochę na niego, w „wymiarze” nie filmowym lecz pisarskim... Ale James Dean był pierwszym, który odkrył taką właśnie postać, taki wizerunek młodego człowieka. Pierwszy dokonał syn te z sylwetki młodego współczesnego człowieka, i pokazał ten wizerunek, jako pierwszy, na ekranie filmowym.

„Po co aktor występuje? — tłumaczył przyjaciółom. — Po to, aby wyrazić marzenia, złudzenia, tęsknoty i neurozy, w których jest pogrążony”. To nie wszystko. Człowiek, który odkrył go dla kina, reżyser Ella Kazan, miał później napisać o Deanie: „Dawał w tym filmie [„Na wschód od Edenu”] z siebie absolutnie wszystko. Z każdą następną sceną, którą kręcił, nasza ekipa zdjęciowa powiększała się. Przychodzili bowiem pracownicy techniczni z innych ekip filmowych, aby zobaczyć, jak pracuje James Dean. Wszyscy czuli, że oto rodzi się nowa gwiazda. Był tak bardzo niezwykle, ponieważ żadna rutyna, żadne doświadczenie zawodowe, żaden „tik” aktorski jeszcze nim nie zdolał zawiadnąć. James wyrażał przed kamerą wszystko to, co miał w sobie; wszystko, co skumulowało się w nim od czasów dzieciństwa; i to było jedno z mocnych najbardziej bulwersujących doświadczeń życiowych. Tak, nie myliliśmy się. Kiedy film wszedł na ekran, dziewczęta na sali krzychały w ekstazy, a mężczyźni zachowywali się jak przyrodnicy, gdy James Dean pojawiał się na ekranie. To były te same krzyki, ta sama reakcja, co dziesięć lat później — na widok idola rocka. Czegoś podobnego nie widziałem w życiu”. Po premierze „Na wschód od Edenu” narodził się Dean-Idol. Po wejściu na ekran „Buntownika bez powodu”, a następnie „Olbrzym”, James Dean stał się mitem. Mitem — wielokrotnionym poprzez śmierć idola.

Mit Jamesa Deana jest żywy po dziś dzień. Nakręcono ciesząc się wielkim powodzeniem film dokumentalny o jego życiu — „30 września 1955 r.”; powstały o nim dwie sztuki teatralne —

„Come Back to the Five and Dime” i „Jimmy Dean, Jimmy Dean” a pod koniec ubiegłego roku, w trzydziestolecie śmierci Deana, odbyły się w Stanach Zjednoczonych liczne uroczystości rocznicowe. Ostatnio swoista sensacją stało się odkrycie w jednym z odcinków amerykańskiego serialu telewizyjnego „Tales of Tomorrow” („Opowieści jutra”), powstałego w 1953 r. (a więc dwa lata przed „Na wschód od Edenu”) kilku — trwających w sumie trzy minuty — scen z udziałem Jamesa Deana, aktora zupełnie jeszcze wówczas nieznanego.

Inna sprawa, że mit Deana zaczyna dzisiaj zmieniać pewne swoje wewnętrzne proporcje, ewoluować w dotąd niespotykanym kierunku. Oto coraz więcej w nim nostalgii. Dean był niegdyś pierwszym młodziemczym buntownikiem, pierwszym patronem młodzieżowych ruchów kontestatorskich. Ale był też ostatnim na ekranie przedstawicielem Ameryki prowincjonalnej. Jego buntowniczy następcy pochodzą z wielkich miast. Zwrócono uwagę na fakt, że Al Pacino, Robert De Niro, Sylvester Stallone czy John Travolta są produktem właśnie wielkiego miasta, w kreowanych przez siebie postaciach wyrażają Amerykę wielkich, zróżnicowanych rasowo, kulturowo i pochodzeniowo, miejskich metropolii.

stać nietuzinkowa, jeden z uczestników i bohaterów II wojny światowej.

Po ukończeniu szkoły średniej James Dean wyruszył do Kalifornii i na uniwersytecie w Los Angeles zaczął studiować prawo. Kręcił się też, jak wielu młodych, podobnych mu ludzi, wokół hollywoodzkich wytwórni filmowych, mając nadzieję zostać aktorem. W końcu udało mu się pokazać przelotnie w filmie „Colline nr 1” („Wzgórze nr 1”).

Hollywood było Mekką sztuki filmowej, ale prawdziwe życie artystyczne koncentrowało się w Nowym Jorku. Tam były doskonałe teatry, tam był Broadway, „off Broadway”, i tam właśnie była rozwijająca się bujnie, młoda telewizja, która potrzebowała nowych twarzy. Wreszcie — w Nowym Jorku działało słynne Actor's Studio (prowadzone przez Lee Strasberga), z którego wyszło wielu wybitnych aktorów, m.in. mnożący kolejne sukcesy na teatralnej scenie, a od 1950 r. i w filmie, Marlon Brando.

Zimą 1951/1952 r. James Byron Dean przejechał starym samochodem Stany Zjednoczone z zachodu na wschód i... powiększył środowisko początkujących aktorów nowojorskich, oczekujących na swą „wielką szansę”. Razem z nim startowali Steve McQueen i Paul Newman. James wstąpił do Actor's Studio, ale rozstał się z nim jeszcze szybciej; me-



Z filmu „Olbrzym”: James Dean (w kapeluszu), pierwszy z lewej i Rock Hudson.

James Dean był wszak rolnikiem z prowincji. Młodym człowiekiem, którego dzieciństwo i lata chłopięce upłynęły na prowincjonalnej farmie, wśród typowych zajęć gospodarskich. Chodził do szkoły w pobliskim miasteczku, fascynowała go poezja, muzyka i teatr, ale po powrocie ze szkoły siadał na traktor i orał pole albo podawał paszę zwierzętom...

Urodził się 8 lutego 1931 r. w miasteczku Marion w stanie Indiana. Matka pochodziła z rodziny farmerskiej, ojciec był technikiem dentystycznym w miejscowym szpitalu. To matka, trochę wyabstrahowana z codziennego życia i światła, osoba o marzycielskim usposobieniu i artystycznych inklinacjach, rozbudziła w nim zainteresowanie sztuką. To jej pomysłem było nadanie synowi drugiego imienia — Byron, na cześć wielkiego poety angielskiego.

Gdy James Dean miał dziewięć lat, matka umarła na raka i ojciec, który nigdy się nim specjalnie nie interesował, oddał chłopca na wychowanie do siostry Hortensji, posiadającej z mężem, Marcusem Winslowem, dwustuhektarową farmę w Fairmount. Uwaga zawsze w nowej szkole przez rówieśników za „obcego”, „sierotę” itp., coraz bardziej zamknięty w sobie i wyobcowany, James kochał przecież wujostwo i chętnie później, już w okresie największej sławy, przyjeżdżał na ich farmę. I tam też zapraszał dziennikarzy, aby pozować do zdjęć w otoczeniu krów, owiec i sorzetu rolniczego. W latach szkolnych wielki wpływ na rozwój osobowości i intelektu Deana miał miejscowy pastor James De Weerd, po-

toda uprawiana przez Strasberga nie odpowiadała mu zupełnie. Klepał w tym okresie biedę, dorywcze „okazje” w telewizyjnych spektaklach; w swym pokoju przy 68 Ulicy Zachodniej czytał poezje Baudelaire'a, Rimbauda, Verlaine'a i... uczył się grać na klarnecie.

Najpierw przyszedł sukces teatralny. Po dostrzeżeniu go w sztuce „See the Jaguar” odnosi wielki sukces w przedstawieniu wg „Immoralisty” André Gide'a, kreując postać młodego arabskiego służącego, homoseksualisty. Lecz zaraz po premierze, zamiast „kuć żelazo póki gorące”, dyskontował teatralny sukces, rzuca wszystko i wyjeżdża do Hollywood. Ella Kazan przystępuje tam właśnie do realizacji „Na wschód od Edenu”. Do ostatniej chwili Dean trzymał w tajemnicy fakt zaangażowania go do tego filmu. Nie zwierzył się także nigdy nikomu, że w zdjęciach próbnych zmierzył się z „rokującym” najwyższe nadzieje Pauliem Newmanem, i że... zdystansował Newmana o kilka długości. Pierwsze „klapsy” na planie filmowym zabrzmiły jeszcze w 1954 r.; wiosną 1955 r. „Na wschód od Edenu” wszedł na ekran kin.

„Olbrzym” chyba szczególnie musiał być bliski Jamesowi Deanowi. Grał w nim młodego mężczyznę, niemal chłopaka jeszcze pozbawionego rodziny i przyjaciół, wyobcowanego z miejsc-

Dokończenie na str. 11

MIKROKOMPUTERY Bazy danych

Monika Maruszak
Edward Maruszak

ODPOWIEDNIO zaprogramowany mikrokomputer może mieć ogromną liczbę różnorodnych zastosowań. Takie działania jak symulowanie sterowanej numerycznie obrabiarki, modelowanie systemu centralnego ogrzewania, redagowanie i nadawanie odpowiedniej formy tekstom, które się przygotowuje, czy też funkcjonowanie jako wyszukany wysokiej klasy kalkulator — choć to sprawy zupełnie odmienne i dotyczące różnych zagadnień — nie przedstawiają dla mikrokomputera większych trudności.

Mikrokomputer można również stosować do gromadzenia zbiorów informacji. Pozwala on na wygodne manipulowanie nimi, wyszukiwanie ze zbiorów i sortowanie informacji pożądanym, obliczanie wyników i podawanie ich na wiele różnych sposobów. Zbiór informacji nazywa się w języku informatyki bazą danych, a jeżeli jest on wyposażony w system zarządzania (składający się z jednego lub kilku programów), wówczas bywa nazywany bankiem danych lub bankiem informacji.

Jednym z bardziej znanych i chętnie kupowanych systemów, organizujących bazy danych mikrokomputerów, jest wprowadzony niedawno na rynek przez kalifornijską firmę Ashton Tate system zwany dBase II, składający się z czterech programów: Datalog, Scribe Database, Stardatabase i Database System ten został napisany w kodzie maszynowym procesora Z-80. Stanowi on język programowania wysokiego poziomu obejmujący 84 rozkazy i funkcje, które można łączyć w zbiory rozkazów interpretowane przez jądro systemu. Naturalnie, struktura informacji w bazie danych jest z góry

zależna i ma tutaj charakter kartoteki.

Można sobie wyobrazić, że zbiór danych przypomina pudełko lub szufladę kartoteki bibliotecznej, w której znajduje się pewna liczba fiszek. Jeżeli zapisane na fiszkach informacje są magazynowane w sposób metodyczny, wówczas każda jednostka informacji zawarta jest na określonym obszarze fiszki, który nazywamy polem zapisu. Tak więc mamy kilka pól w każdym zapisie, zaś pewna liczba zapisów (fiszek) tworzy zbiór danych (kartotekę).

Rysunek pierwszy przedstawia strukturę zapisu danych pochodzących z hipotetycznego zbioru informacji dotyczącego magazynowania win. W każdym zapisie jest osiem pól, na których umieszczone są różnego rodzaju dane. Ten sam rodzaj informacji zapisany jest na poszczególnych fiszkach w tym samym miejscu (polu) tak, aby program, poszukując np. daty zakupu, kierował się do tego właśnie pola. Datę sprowadzenia wina do magazynu podaje się w postaci DD/MM/RRRR — dzień (miesiąc) rok — podczas gdy nazwa gatunku wina stanowi ciąg znaków alfanumerycznych o nie określonej długości. Warto zwrócić uwagę, że pole przeznaczone na notatki dotyczące smaku wina jest dłuższe niż szerokość fiszki lub ekranu monitora — co czasami może stwarzać trudności przy wydruku informacji.

Kartotekowa architektura zbioru jest prosta, łatwa i ma zastosowanie do wielu celów. Dlatego omawiany system operowania bazą danych doskonale nadaje się zarówno do sporządzania zestawów nazwisk, adresów i telefonów znajomych, przyjaciół czy instytucji, z którymi współpracujemy, jak i

do opracowania cenników towarów, katalogów książek w bibliotece, wykazów artykułów naukowych, monografii, dokumentów czy innych materiałów niezbędnych lub wykorzystywanych przez uczonego przy opracowaniu jakiegoś problemu naukowego, czy też wreszcie wykazu narzędzi zarejestrowanych podczas inwentaryzacji w narzędziowni fabryki samochodów.

Istnieją także inne, nieco bardziej złożone, sposoby konstruowania zbioru danych, dogodniejsze jednak dla wielu celów. Wyobraźmy sobie, że istnieje potrzeba zorganizowania funkcjonalnego systemu fakturowania przy sprzedaży wyrobów rzemiosła garncarskiego: kubków, talerzy, półmisek, dzban-

Gdy zadowolony z usług i towaru klient pojawia się ponownie w omawianej hurtowni, wtedy przeszukuje się zbiór danych nagłówkowych, aby znaleźć pierwotny zapis dotyczący klienta i natychmiast wprowadza się nową fiszkę z zapisem następnej sprzedaży towaru do rejestru transakcji. Transakcje bowiem wskazują jednoznacznie na nagłówek, zaś nagłówek kieruje do wszystkich transakcji przeprowadzonych z danym klientem.

Właśnie do takiej organizacji zbiorów danych doskonale przystosowany jest system dBase II, posiadający cechy umożliwiające pracę na dwóch oddzielnych, zupełnie różnych zbiorach w tym samym czasie. Dane zawarte w

NAZWA: Corton-Charlemagne KUPIEC: H. Jones
ROZNIK: 1970 TELEFON: 665321
DATA ZAKUPU: 25/05/1980 ILOŚĆ: 8 butelek
ZAPAS: 5 skrzynek
UWAGI O SMAKU:

ków itp. Jeżeli żaden z klientów nie dokonuje zakupów zbyt często wówczas opisana powyżej architektura kartotekowa może być zupełnie wystarczająca. Przepuszczać jednak należy, że właściciel lub kierownik hurtowni będzie chciał, aby przynajmniej niektórzy jego klienci pojawili się ponownie celem dokonania dalszych zakupów. Gdy to nastąpi, będzie musiał znowu wprowadzić wszystkie dane dotyczące kupującego, jak: imię, nazwisko, nazwę firmy, adres fakturowania, adres dostawy, numer telefonu, ilość i rodzaj towaru, jego cenę itd. I tak byłoby przy każdym zakupie. Taka procedura, oprócz dużej pracochłonności, stwarza również spore prawdopodobieństwo pojawienia się błędów. Jeśli zaś błąd powstanie w nazwie klienta, wówczas kłopotliwe stanie się porównywanie sprzedaży dokonywanych w różnych terminach. Podobnie przy zastosowaniu systemu kartotekowego trudno byłoby wprowadzić jakiś rozsądny system kredytowania klientów. Znacznie korzystniej będzie więc w takich wypadkach zastosować odmienną bazę danych.

Kiedy klient po raz pierwszy kontaktuje się z firmą handlową, wówczas niezbędne o nim informacje wprowadza się do bazy danych, tworząc zapis nagłówkowy. Zakupione przez klienta towary, koszt jednostkowy, cena całkowita, podatek obrotowy, rabat itp. dane zostają wprowadzone do osobnego zapisu, tworząc zbiór danych transakcyjnych, powiązany z zapisem nagłówkowym za pomocą łącznika, którym jest odpowiednia instrukcja zawarta w programie bazy danych.

Dane i pola w zapisie transakcji są zupełnie różne od tych, które znajdują się w zapisie nagłówkowym. Tam, gdzie w zapisie nagłówkowym widzimy np. numer telefonu klienta, w zapisie transakcyjnym może się mieścić opis np. mebla. Mamy więc dwa zbiory różnych danych, połączone jednak ze sobą odpowiednią instrukcją zawartą w programie bazy danych.

Jednym zbiorze mogą być odszukane lub też można nimi manipulować przez odniesienie do zapisów zawartych w drugim zbiorze i vice versa. Jest to więc typ bez danych zwanych bazami relacyjnymi lub sprzężonymi.

Chociaż teorię tych baz danych opisuje się językiem matematyki wyższej, jej istota polega na posługiwaniu się tabelami. Tabele stanowią bowiem bardzo prosty i naturalny sposób przedstawiania danych, a jednocześnie spełniają szereg prostych reguł. Każda rubryka w tabeli reprezentuje jedną wartość. W obrębie jednej kolumny wartości wszystkich rubryk są tego samego rodzaju. Wszystkie kolumny mają swoją nazwę. Natomiast każdy wiersz tabeli jest charakterystyczny i jednoznaczny, przy czym sposób uporządkowania kolumn i wierszy nie jest już sprawą istotną.

Rysunek drugi ilustruje część prostej medycznej relacyjnej bazy danych. Łatwo zauważyć, że przeszukując zbiór nazwisk i adresów, można znaleźć w tabeli nazwisko pacjenta na podstawie numeru rejestracyjnego lub numer rejestracyjny na podstawie nazwiska czy adresu. Podobnie zbiór danych dotyczących środków leczniczych zawiera informacje o cenach każdego leku oraz o ilości, która ciągle powinna być w zapasie. Tabela leków wydawanych na recepty jest związana zarówno z tabelą pacjentów, jak i z tabelą leków. Na ich podstawie można szybko dowiedzieć się, że pacjent o nazwisku Kowalski (nr rej. 4419) otrzymał inhalator z salbutamolem na receptę w dniu 5 XI 1985 roku, a cena inhalatora wynosi 375 zł. Można też szybko dokonać zestawienia ilości leków wydanych pacjentom hospitalizowanym w jakimś okresie czasu oraz wyliczyć koszt tej kuracji, zarówno ogólny jak i w przeliczeniu na jednego pacjenta.

Naturalnie zarówno same tabele, jak i relacje zachodzące między nimi mogą być bardziej złożone. Wszystko jednak wskazuje na to, że relacyjne bazy danych, które usłowo opisano powyżej w sposób poglądowy, stanowią bardzo dogodny sposób gromadzenia, organizacji, manipulowania i wyszukiwania informacji zawartych w zbiorach danych.

PACJENCI:		
NAZWA	ADRES	Nr. rej.
A. KOWALSKI	STASZICA 53	4419
J. GANO	KOWALSKA 12	4150
E. WÓJCIK	ZIELONA 3	1772
Z. ADAM	KLINICZNA 8	5318
J. RESZKA	CISNA 2	8664
D. BZIUBA	NOVA 11	2218
K. KOSIŃSKI	LIPOWA 3	7153

RELACYJNA BAZA DANYCH			
RECEPTY:			
Nr.	DATA	LEK	ILUŚĆ
4419	5/11/85	SALBUTAMOL	2 inhal.
4149	6/11/85	PENICYLINA	10 tabl.
1772	8/11/85	LAXIGEN	10 tabl.
2218	8/11/85	VIT. C	100 tabl.
7153	9/11/85	ASPIRYNA	20 tabl.

ZAPAS LEKÓW:		
LEK	ZAPAS	CENA
SALBUTAMOL	10 INHALATOR	375.-
PENICYLINA	1000 tabl.	266.-
ASPIRYNA	2000 tabl.	6.-
VIT. C	5000 tabl.	13.-
VIT. B	5000 tabl.	17.-
LAXIGEN	500 tabl.	38.-

Terroryści domowego chowu

Dokończenie ze str. 3

Oczywiście, motywacje tych desperackich czynów mają swoje głębsze, niżby się wydawało, podłoże; biorą zazwyczaj początek z tej warstwy, gdzie kumulują się i nakładają na siebie niekorygowane — czy to przez nieuwiadomienie, czy też lekceważenie — błędy wychowawcze samych rodziców. Na próżno później szukać winnych na zewnątrz, kiedy pod własnym dachem, w klimacie najczęściej wielkiej i bezkrytycznej miłości do dziecka nabiera ono złych cech i odruchów, które w przyszłości okazać się mogą niebezpieczne i zgubne w skutkach.

Dla wszystkich — dziecka, które dorosło, rodziców, otoczenia.

Zaczyna się wszystko niewinnie, od zabawy, przekornego grymaszenia, małych złościwość. Tuściutki, rozczulający bobas wali pajacykiem tatuzia po głowie, drze mamusine włosy, „bezbłędnie” strąca babci okulary. Pluje zupką i kaszką po twarzach karmiących. Patrzcie jednak, jaki silny, jaki zmyślny! Ugryzie czasem w palec, policzek, cóż, on jeszcze malutki, nie rozumie. Czyżby? Wiadomym sobie tylko zmysłem już przeczuwa, że robi na złość, na efekt, na wyprawienie rodziców z równowagi. „Nosić, bawić” — padają pierwsze seplenione rozkazy. Nie wykonane, wywołują jakże już zamierzony, efektowny płacz, spazmy, histerię, aż do utraty tchu. Przerazona mama będzie więc do „upadku” hu-

lać, bawić, kolysać, gaworzyć, dogadzać, zamiast energicznie poskromić te pierwsze „terrorystyczne” odruchy, czasem konwencjonalnym kląpsem, choć nie polecamy, najczęściej jednak pozbawieniem „widowni”. Rozwieszczony malec, widząc, że nie ma co liczyć na dalsze względy i ustępstwa, tracąc „publiczność” i jej zainteresowanie, wyrzuci się i uspokoi. Powinien wiedzieć, że robi źle, i za to spotyka go odpowiednia reprimenda.

Pięcioletnia Ania, ilekroć rodzice wybierali się gdzieś z wizytą — a pozostawiali małą pod opieką starszego, lubianego przez nią zresztą brata — natychmiast dostawała wymiotów, biegunki i gorączki, które mijaly, kiedy mama, chcąc nie chcąc, przebrała się już w ciapy i podomkę. Na nic zdawały się perswazje, pocieszenia, laskoc-

Nastolatka widzi nowe, szalowe ciuchy u koleżanek, chłopak — nowe stereo u kolegi. My to chcemy także mieć! My to musimy mieć! Na początek jest gwizdanie, trzaskanie drzwiami, a potem ostrzejsze już środki „domowego terroru”, niekiedy, aż po desperacki czyn Tadzika. Wszystko, by zmieścić „starych”, by „pekli” i pozwolili na późne powroty z dyskoteki, modne i drogie ciuchy, wyjazdy w nieznanne.

Mareczki, Piotrusie, Agatki jadą na wycieczkę. Cieszą się, ale nie tym, co zobaczą, lecz tym, co kupią. Rodzice nie pozwalali im pieniażków, nawet w obec walucie. Tak jak dorośli na wycieczkach zagranicznych, liczą, przeliczają, dokonują wyboru atrakcyjnych dla siebie przedmiotów. Przechwałkom nie ma końca. To dobrze, że dzieci wprawiają się w samodzielnych zakupach. Czy jednak znają miarę i wartość rzeczy potrzebnych? Zarobionych przez rodziców pieniędzy? Czy jest im to uświadomiane? Skąd ich wymagać stale roślinie.

Rodzice nie żalują na ogół niczego swoim dzieciom. Niech mają! Niech mają lepiej, niż kiedyś oni sami. Nie

kamena

Jaki będzie Felin?

Wyłożona dzielnica

Bolesław Stelmach

FELIN, nowo projektowaną dzielnicę Lublina, „wyłożono” w Biurze Planowania Przestrzennego; a wyłożony tam projekt jest tak mocny, że jeżeli ktoś miał na ten temat własne wyobrażenia, to zostaną one wyprostowane. Każdy idzie, aby zobaczyć to, co go interesuje: chłop z zagrody na Felinie chce sprawdzić, czy się ostanie, MPK chce zobaczyć, gdzie się będzie jeździło, a ja po prostu, aby po wielu zawodach zobaczyć w nowych fragmentach Lublina odbicie jego tradycji, czy zwyczajnie miasto. Z pewnością tęsknoty moje są bardziej dziwaczne niż np. członków spółdzielni mieszkaniowych czekających po dziesięć lat na swoje M, ale to kwestia upodobań.

Owo zjawisko, ów proces, jakim jest współczesne miasto, musi być ujęte w odpowiednie ramy przestrzenne, aby w pełni zasłużyć na swoje miano. Otóż gdy myślę: miasto, to widzę ulice, place, uliczki, aleje, placiki handlowe, skwery i parki — nie pokrywa się to jednak z krajobrazem proponowanym przez osiedla (Konopnickiej czy Łęgi). I nie tłumaczy tu zbyt wiele „całościowa realizacja obsługi mieszkaniowości”. Nie muszą chyba dodawać, że komfort życia oferowanego przez np. osiedle Mickiewicza musi być utrzymany i w nowo powstających osiedlach.

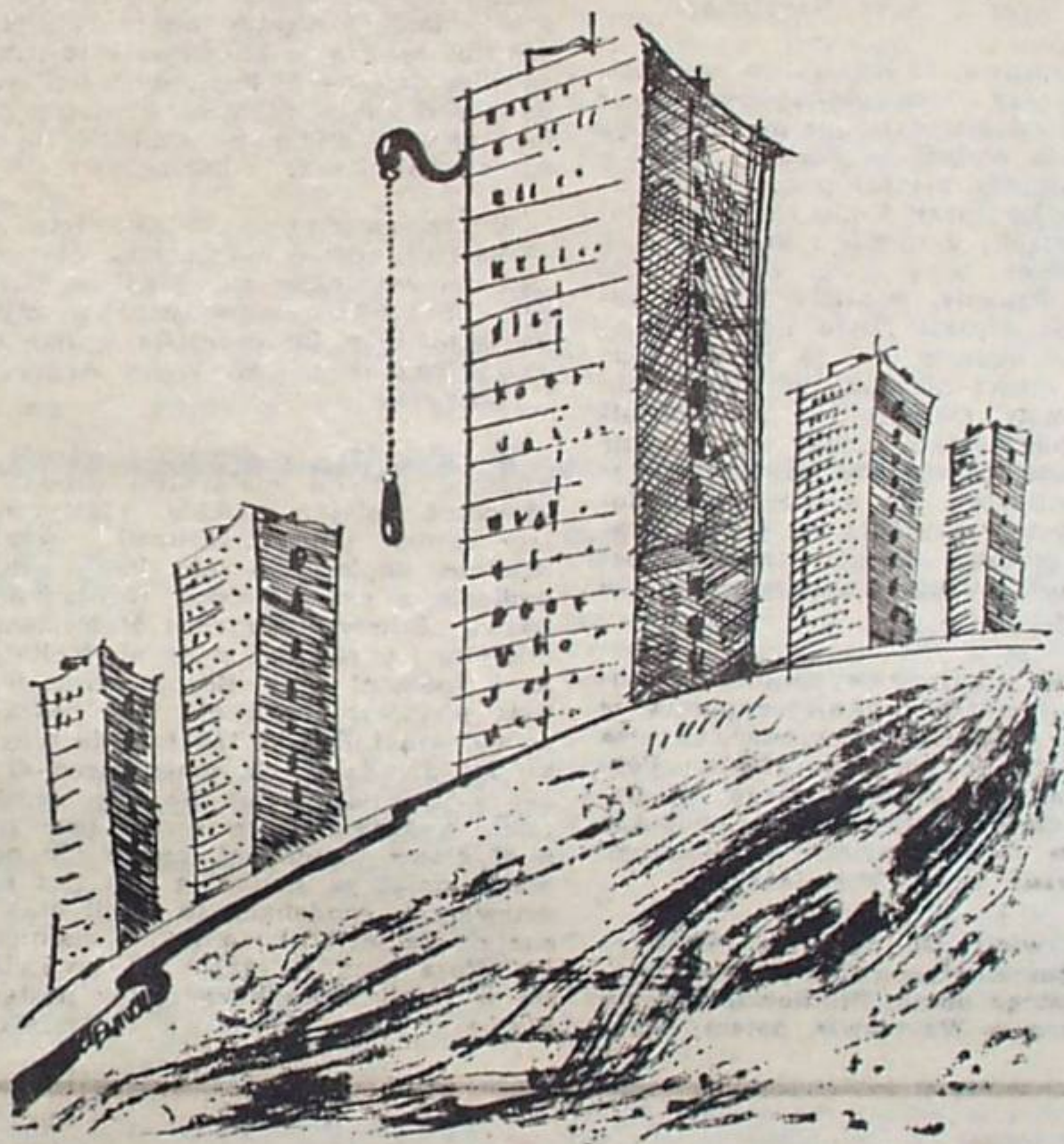
Nie jestem w swoich zapatrywaniach zbyt oryginalny, powiedziałbym nawet, że „poszukiwanie miasta” to dzisiaj moda w środowisku architektów. Wystarczy sięgnąć do pierwszej z brzegu publikacji fachowej, aby się o tym przekonać. Miasto zawiera wiele różnych funkcji i nie można kategorycznie stwierdzić, że jedna z nich czy całe zespoły są ważniejsze od innych, i tym samym wyraźnie określić granice tego pojęcia. Ale wolno mi chyba upierać się, że najważniejsza jest ciągłość i indywidualizacja przestrzeni publicznych. Jasne, że inaczej odbiera to urbanista, inaczej tzw. przeciętny mieszkaniec, a jeszcze inaczej np. przejezdny. Nie trzeba jednak używać uczonych argumentów, aby przekonać kogokolwiek, że nowe fragmenty Lublina — typu Czechów czy Czuj-

by — są w tak rozumianych kategoriach kompletnie nieczytelne. Samo dodanie nawet prawidłowo skądinąd rozwiązanych funkcji, z programu dzielnicy jeszcze nie robi Krakowskiego Przedmieścia, żeby już być dosłownym. Podobnie z nowym Felinem.

Toteż — zachowując wszelkie proporcje — dla mnie Felin jako miasto pojawi się dopiero wtedy, gdy będzie miał czytelną indywidualność przestrzenną; pojawi się dopiero przy pewnych przestrzeniach wieloaspektowych, wypełnionych różnymi funkcjonalnymi, informacyjnymi, symbolicznymi elementami, które nie tylko umożliwia-

ją bardziej intensywne kontakty ludzi, ale także identyfikację z wzorcami, jakie każdy z nas ma zakodowane. Są na ten temat całe tomy teorii, toteż oszczędzę sobie dalszych wynurzeń, porzeczając na stwierdzeniu, że ostatnie lata przyniosły parę niezwykle interesujących konfrontacji przytoczonych przemysłów z rzeczywistością projektową (Złotno w Łodzi, Lubostron w Krakowie) czy wręcz realizacyjną (Poznań). W wypadku Felina z takich prób zrezygnowano.

Dewiacja zawodowca (pragnienie miasta) może być jednak opcją społeczną, z tym że bez możliwości głós-



Rys. Zbigniew Cieniuch

można odmówić słuszności takiemu rozumowaniu. Tak, niech mają, lecz nie kosztem największych wyrzeczeń, nie zawsze uszanowanych, docenionych. Psycholodzy, i nie tylko oni, zwracają uwagę na szczególną cechę naszych czasów, charakteryzującą się przesunięciem akcentu z „być” na „mieć”. Znajduje to swoje, aż nadto widoczne już ślady w wychowaniu dzieci. Niech mają! Łatwo, dużo i natychmiast. Rosną więc nasze pociechy w poczuciu należnej im wygody. Prawie żadnych obowiązków wobec domu, bliźnich; lekceważenie pracy innych; negowanie rzeczywistości.

Powie ktoś z czytelników, że moralizuję, że przesadzam w ocenie zjawisk. Rodzice chcą tylko dobrze dla swoich dzieci. Ale w tym rodzicielskim „dobrze” jest także i sporo niekonsekwencji wychowawczych. Co innego dziecko słyszy w domu, o czym innym przekonują go i uczy w szkole, co innego widzi i słyszy w organizacjach, na religii, choć wszyscy, oczywiście, chcą tego samego „dobrze” (w swoim rozumieniu). Dziecko gubi się niekiedy w tych prawdach i wzorcach. Z jednej strony — ma wszystko, czego du-

sza zapragnie, bo taka czasem bywa przesadna troskliwość i staranie rodziców; z drugiej zaś strony — widzi ich skłóconych, często nienawistnych sobie, oszukujących, zakłamanych, traci z nimi uczuciowy kontakt, moralną podporę. Szuka czegoś, grymasi, wymusza, by zwrócić na siebie uwagę. Ucieka, przystaje do złego towarzystwa, od którego oczekuje akceptacji. Ręka coraz to bardziej posiekana sznytami, tatuazem. Dwunastolatek zna już smak alkoholu i „przebalaganionych” nocy. Skrajny przykład? Prawdziwy.

Mali egoiści, nerwusy, pyskacze, rozpychający się lokciami, przeklinający, mali cwaniaczkowie. Jakże czasem trudno przynąć się rodzicielom, że to pod ich opiekuńczymi skrzydłami wyrosło potomstwo o takich właśnie skłonnościach i odruchach. Mali — sfrustrowani — rekompensują sobie szkolne i domowe niepowodzenia odwetem na słabszych, starszych, bliższych i sąsiadach. Rodzice niechętni są tym, którzy czynią im uwagi i propos wychowania dzieci. Co, ja źle wychowuję? Bezkrzytyczne przekonanie o najlepszych intencjach i — według własnego mniemania — najlepszych meto-

dach wychowawczych przesłania oczywiste błędy.

Generalnie obserwuje się — zdaniem nie tylko pedagogów — nieprzystawanie przez rodziców należytej wagi do domowego wychowania dzieci. Ciężar wymagań w tym dziele składany jest na szkołę, ale kiedy ta dotyka na przykład niedostatecznej dyscypliny u dziecka, niedostatecznych nawyków do porządku, higieny, poszanowania ludzi starszych, wspólnego mienia, przyrody itp., niewłaściwie kształtowanej sfery emocjonalnej, rodzic „najeża” się i ma za złe. Nikt prócz niego, rodzica, nie ma prawa krytykować dziecka, a tym bardziej poddawać pod ocenę rodzicielskie efekty wychowawcze.

Ileż rozbieżności jest między samymi rodzicami. Jedno pozwala dla świętego spokoju na wszystko, nie bacząc na konsekwencje, obdarowuje, spełnia zachcianki, hołubi. Drugie karci i represjonuje ponad miarę, ogranicza podstawowe i nieraz potrzeby. Jedno pociesza, drugie przeklina i sięga po pas. Albo oboje są głusi i ślepi na ekscyzy, i beślni już wobec dziecięcego terroru. To rodzicom czasami przychodzi bronić się przed własnymi

nej artykulacji czy wyegzekwowania od władz miejskich. Doszedłem teraz do zasadniczego problemu: od kogo zależy, iż taki czy inny kształt przybiera miasto? Jest to oczywiście wypadkowa wszystkich działań — od struktury władz lokalnych po wykonawców obiektów kubaturowych. Jeżeli brak celowej organizacji tego procesu, to piętno nadaje najsilniejszy, czyli na dzisiaj — wykonawca, który szantażem niewykonania w ogóle żadnych kubatur uzyskuje koncesje ze wszystkich stron — od projektantów, użytkowników czy choćby władzy przedstawicielskiej. Czyli w tej chwili krajobraz miejski zależy od wykonawcy. Paranoja? Paranoja.

Jak łatwo wywnioskować, przestrzenie wieloaspektowe mogą powstać wyłącznie w procesie współdziałania czy konkurowania, a nawet konfliktów wielu inwestorów, wspartych możliwościami różnych wykonawców. Potrzebni są więc inwestorzy — im więcej, tym lepiej — i reguły gry tych inwestorów dla znalezienia dróg kompromisów. Dodatkowo komplikuje sprawę konieczność precyzyjnej koordynacji (np. infrastruktury technicznej) w ramach całej dzielnicy, co dzisiaj kuleje, i to mimo że inwestor jest jeden (sic!) na całą dzielnicę.

Jak więc w kontekście powyższego może wyglądać projektowanie urbanistyczne i czy szukanie przestrzeni wieloaspektowych nie jest kolejną mrzonką; czy po kompletnej klęsce myślenia modernistycznego, że się posłuży tym wytrychem, nie nakłaniam do kolejnego płodzenia obrazków abstrakcyjnych, przynoszących tyleż splendoru twórcom, ile kompletnie bezużytecznych? Otóż mógłbym wskazać znane metody projektowe, które pozwalają na kontynuację przerwanej ciągłości kształtowania tkanki miejskiej. Metody te, nie przesadzając niczego, pozwoliłyby na zaistnienie miasta, gdyby powstały odpowiednie warunki (np. w jakimś fragmencie dzielnicy). Jednak idzie o to, komu ma zależeć na wyborze odpowiedniej metody — czy jest to tylko kwestia autorska? Specjalnie nie rozwodzę się nad monokulturą przedstawioną na Felinie, bo problem jest o wiele szerszy: od struktury samorządu lokalnego, statusu prawnego (a więc i finansowego) władz miejskich po wielość wykonawców o różnej skali zainteresowań. Projektowanie czy metoda projektowania jest tylko jednym z instrumentów lokalnej polityki przestrzennej.

Czy stać nas na wprowadzenie jakiejś samodzielnej działalności lokalnej w tym zakresie? Wydaje mi się, że tak. Konieczna jest jednak świadomość celu, uspołecznienie procesu projektowania i realizacji miasta oraz kontroli efektów. Pierwszym krokiem byłaby dyskusja z udziałem fachowców od urbanistyki dla wskazania i rozwiązania problemów najpilniejszych. Jeżeli sami nie czujemy się na siłach, z pewnością możemy liczyć na autorytety w tej materii. Wyobrażam sobie szum, jaki powstałby przy takim problemie np. w Szwajcarii, gdzie przebieg byle drogi jest ustalany poprzez referendum. Tylko u nas kompletna cisza; a może tak naprawdę to nas to wszystko nic nie obchodzi?

dziećmi. Bicz, który na siebie ukreślił, popielając błędy wychowawcze, smaga bezlitośnie.

Tak, zgodzimy się, że czasy nie są łatwe. Kolejki, trudności, stresy w pracy, nerwowość, niepewność świata i ludzkiej egzystencji. Presja materialno-konsumpcyjna, brak szerszych perspektyw. Coraz więcej znerwicowanych i sfrustrowanych dzieci, zagonionych i równieź zniechęconych do rzeczywistości rodziców, lub walczących o „być” lokciem i pięścią. Coraz mniej mają dla siebie czasu, cierpliwości, zrozumienia. I to też prawda. Ktoś powiedział słusznie: „Taka jest przyszłość człowieka, jaka jego przeszłość”. Ale trzeba też pamiętać, że to, co wyniesie z domu mały człowiek, będzie dla niego obowiązujące na całe życie. Chyba, że dobre wzorce i nawyki odrzuci. Nie ma aż tak trudnych warunków, by nie można było nie poddać właściwemu wychowaniu dzieci.

(dey)

Panie są słodkie...

PANIE są słodkie, piękne, powabne, zaokrąglone, nie takie, jak dzisiejsze odchudzone wywłoki. Pani Kowerska, dama z zamożnego ziemianstwa lubelskiego, przedstawia się w całej okazałości, w długiej sukni z dekoltem, lekko uśmiechnięta, oparta o lekko przechylone krzesło, z lekką kokieterią. Pani Słomińska, żona późniejszego prezydenta miasta stołecznego Warszawy, siedzi skromnie, ujęta do kolan, których przecież nie pokazuje. Pani Kalinowska, żona znanego adwokata i członka zarządu Towarzystwa „Muzeum Lubelskie” prezentuje się natomiast w pozycji bardzo efektownej, na tle lasu, ponad tąką, której zieleni koresponduje z kolorem oczu tej eleganckiej kobiety z wilczurem na smyczy, przyodzianej w białą bluzkę z dekoltem, czerwony zakwiat, czarną spódnicę i coś tam jeszcze na ramionach. Są i inne panie: Sobańska, Hemplowa, Kołucka, Łabędzka, Radziukińska i baronowa Lago, która podczas I wojny światowej oddała artystycznie nie tylko oblicze, ale i perły na przechowanie. Wszystkie przetrwały dzięki kruchym pastelom i farbom olejnej, prawie wszystkim zechciały wystąpić w pusztych etołach, futrach, których zmysłową urodę malarz oddawał z niezrównanym mistrzostwem.

Panowie są tacy, jacy są: kanciąsi, twardzi, czerstwi, lysawi, bez złudzeń. Jest wśród nich Adam Zajęczkowski, przystojny pilsudec, były legionista, ciągle użerający się w międzywojniu z endekami, których w chwilach wolnych od pracy w lubelskiej szkole plastycznej obsmarowywał w gazecie, zreszczeniem uykając sięgającej go cenzury. Jest prałat Pruszkowski z parafii św. Piotra i Pawła, ponoć bardzo skąpy i może dlatego zaopatrzony w tzw. ruchomą głowę, w całej swej kurbaturze jakby zwracając się ku poruszającemu się przed nim widzowi. Jest ojciec artysty, Henryk, powstańca 1863 roku a zaraz potem sybirak, świetnie scharakteryzowany w poetyce realizmu; lekka siwizna na krótkich włosach, twarz wyraża w rdzawych brzożach, bródka, a w lewej dłoni — rosyjska gazeta! Jest Wilhelm Henneberg z Warszawy, zamożny teść malarza, ujęty na sposób galicyjsko-monachijski, widać przy tym, że człowiek

energiczny. Jest general Kutuzow w tondzie, potomek słynnego zwycięzcy Napoleona, też chyba książę, który zjechał do Lublina w celach na polu wywiadowczych, po zawiadomieniu cara przez... ojca artysty, że Niemcy penetrują gubernię!

Wszyscy panowie utrwaleni zostali w oleju na płótnie.

Portrety wymienionych osób wyszły spod pędzla (lub kredki) Krystyna Henryka Wiercieńskiego, malarza lubelskiego w najlepszych latach swego życia, choć urodzonego (1876) w puławskim Niezabitowie, a zmarłego w Naleczowie (1964). Ale kto o nim dziś u nas pamięta? Kto może pamiętać, skoro po raz ostatni publicznie pokazano jego prace 20 lat temu, na wystawie z okazji 30-lecia naszego ZPAP, do którego założenia przyczynił się wraz z córką Krystyną?

Inna sprawa, że malarstwo w duchu Gersona czy monachijczyków, jakie uprawiał Wiercieński, nie mogło budzić większych emocji w czasach (1956—1975), kiedy artyści przyjęli rolę uczonych kucharzy i niczym cebulę obierali sztukę z mitów i konwencji — w zbożnym pragnieniu dotarcia do Czystej Prawdy. Spadały koleje lupiny, sok tryskał, było nawet rajcownie, aż okazało się, że po rozebraniu na części nie ma już ani cebuli, ani prawdy. Okazało się, że naturalnym środowiskiem sztuki jest właśnie sfera mitu, a więc to coś, co próbowano zniszczyć. Po drodze „załatwiono” przecież przynajmniej jedną sprawę: wyjątkowo mocno naruszono poczucie tożsamości kulturowej wśród rodaków.

Dzisiaj, kiedy nawet najmłodsze pokolenia malarzy szukają wsparcia w tradycji, pojawia się wreszcie szansa na odkurzenie obrazów autora „Portretu Kazimierza Skotnickiego”. A jest to twórczość warta uwagi, podobnie jak sam model kariery artystycznej, realizowany przez Wiercieńskiego.

Przez wiele lat sądziłem, że Krystyna Henryk pochodził z jakiegoś bardzo bogatego domu. Studiował bowiem u Gersona w Warszawie, potem, bodaj

od 1896 roku, w C. K. Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie (pod kierunkiem Axentowicza), następnie w Instituto di Belle Arti we Florencji, co potwierdza dokument z 10 maja 1903 roku, na koniec — w monachijskiej „Hollorsy Schule”.

Takie studiowanie w różnych miastach Europy wymagało pieniędzy, których dostarczać mogła — jak przypuszczałem — rodzinna kasa. Tymczasem syn artysty, żyjący w Warszawie Andrzej Wiercieński, od kilkudziesięciu lat także działający owocnie w obszarze sztuki, wyjaśnił mi niedawno, że jedynym wyposażeniem Krystyna Henryka na akademicką drogę było „błogosławieństwo ojca”. Faktycznie zaś utrzymywał się podczas studiów z malowania obrazów i obrazków. Jeśli sędzić po portrecie Rydlowej, żony „tego” Rydla, już w okresie krakowskim dysponował dobrym, realistycznym warsztatem. Wykonał ten konterfekt błyskawicznie, korzystając z krótkiej wizyty ładnej wieśniaczki na uczelni.

Przypuszczałem ponadto, że w Lublinie Wiercieński utrzymywał się głównie z malowania portretów osób ze sfer ziemiańskich, urzędniczych i mieszczańskich. Prawda okazała się mniej efektowna.

Po zamieszaniu na stałe nad Bystrycą (1904) nasz Europejczyk, mężczyzna niewysoki, szczupły, pod wąsem, uruchomił prywatne „Kursy Artystyczne”: ranne (godz. 9—13) i wieczorne (17—19), na których przekazywał wiedzę w zakresie rysunku, malarstwa, zdobnictwa, modelowania w gipsie itp. Zajęcia odbywały się przy obecnej ulicy Kollątaja 5, w rozległej pracowni nakrytej szklanym sufitem, dokąd licznym stadkiem chętnie zmierzali młode i piękne lublinianki, płacąc miesięcznie za kurs ranny 10 rubli, za wieczorny — 5. Panienki z lepszych domów musiały wówczas władać pędzlem czy ołówkiem, by zmieścić się w klasowym wzorze edukacyjnym.

W pewnym momencie dziewczęta odwróciły się jednak od mistrza, nie mogąc mu wybaczyć, że wszedł w związek małżeński z warszawianką, Wandą Henneberg (która miała wydać na świat troje dzieci: Krystynę, Andrzeja i Elżbietę).

W roku 1917 Wiercieński wspólnie z kilkoma innymi malarzami próbował otworzyć kolejną szkołę plastyczną, lecz zamiar ten sfinalizował, sarnodzielnie, dopiero po odzyskaniu niepodległości przez Polskę. Nosila ona nazwę „Szkoły Rysunku i Malarstwa”, mieściła się również przy ul. Kollątaja 5 (później przy Bernardyńskiej) i była pierwszą instytucją tego rodzaju w wolnym Lublinie. Działała do schyłku lat dwudziestych, może nieco dłużej — i spłajnowała! Bo Wiercieński miał, owszem, dobre serce, lecz nie miał głowy handlowej, często nie pobierał opłat za naukę, a jak mu się dziewczyna spodobała, to tracił czas i energię na jej bezhonorajne malowanie. Poza tym, w 1927 roku, pojawiła się w Lublinie konkurencja w postaci Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku



Krystyna Henryk Wiercieńska, akt kobiecy na tle morza, obraz niedatowany (fot. z negatywu na płycie szklanej).

Ludwika Mehofferowej, która wabiła młodzież nazwiskami znanych pedagogów i możliwością kontynuowania nauki w Krakowie.

Krótko mówiąc: Wiercieński utrzymywał się głównie z pracy nauczycielskiej — w zakładzie własnym i w innych szkołach miasta. Owszem, ludzie z towarzystwa lubili się wtedy jeszcze portretować, ale nie było to już uczucie tak głębokie i szerokie, by zapewnić malarzowi środki do życia.

Szanowano przecież Wiercieńskiego w Lublinie, czego jednym z dowodów będzie fakt wręczenia mu pierwszej Nagrody Artystycznej miasta, ufundowanej w 1938 roku.

Podczas okupacji wyrzucony przez Niemców z własnego mieszkania, bodaj w 1943 roku, malarz zamieszkał we własnym domu w Naleczowie, przy ul. Chmielewskiego 3, gdzie też dokonał żywota. Tam też, znacznie wcześniej (1938) zmarła na serce jego żona, która nigdy nie mogła pogodzić się z decyzją męża o pozostaniu w Lublinie, choć droga do Warszawy stała przed nim otworem. I czy nie miała racji, zważywszy dzisiejsze losy lubelskiej historii człowieczej, namalowanej przez Wiercieńskiego?

IJK

PS. Fotografie pochodzą ze zbioru Andrzeja Wiercieńskiego. Reprodukował je Andrzej Polakowski. Na pierwszej stronie fotografia Krystyna Henryk Wiercieńska w wieku młodzieńczym (z negatywu na płycie szklanej).

Pięć kwadransów z „Czarciem”

ZAMIĘST wadycznej szopki noworocznej lubelski kabaret „Czart” wystąpił tym razem z „Szopką caloroczną”. Tytułu tego nie ma co — jak sądzę — komentować i wnikać w jakies tam „zawołowania” konteksty, bo jest on chyba dla każdego aż nadto dobrze zrozumiały. Program został napisany przez Kazimierza Pawelkę, autorami muzyki są — jak zwykle — Jacek Abramowicz i Jerzy Malt, na estradzie występują: Teresa Gajkoś, Zofia Wronko, Jan Klenczler, Andrzej Kiebukowski, Wojciech Welik. „a także czasami w charakterze niespodzianki” (tak stwierdza afisz przedstawienia) Anna Świetlicka i Zbigniew Szeptyman. Reżyserował Ryszard Zarewicz. Akompaniament — autorzy muzyki (w duecie lub wymiennie).

Do „Czarta” mam stosunek szczególny. Bowiem ponad ćwierć wieku temu byłem jednym z tych, którzy ów kabaret zakładali, występowałem w jego czterech pierwszych programach, wiem, jak trudno w miejscowych warunkach stworzyć i utrzymać przez czas dłuższy tego rodzaju imprezę. A także to, że pisanie tekstów kabaretowych, muzyki oraz występowanie na estradzie „Czarta” było zawsze bardziej pełną poświęcenia i wyrzeczeń „pracą społeczną” niż zarobkową. I dlatego, jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi pisać o występach „Czarta”, jest to bardziej felieton zabawny niż sentymentalnej refleksji, niż w pełni obiektywna recenzja.

Tak jest i tym razem. Pięć kwadransów spędzonych z „Czarciem” w kawiarni „Czarcia Łapa” na Starym Mieście dało mi okazję do wspomnień oraz snucia nie-

zbyt wasotych refleksji na temat niepostrzeżenie upływającego czasu. Mimo że siedzący przy fortepianie Jurek Malt przeprowadza na przedstawienia również młode, ładne dziewczyny jak niegdyś, a niektóre dowcipy („Kto tam? Sto gram! Zachadzi!”) opowiadaliśmy sobie jeszcze za czasów studenckich, przy wódec w „Barze Centralnym”...

Zaskoczony byłem faktem, że spełniły się niegdyś moje przewidywania co do trwałości i długowieczności kabaretu. Otóż przed ponad dwudziestu laty, gdy „Czart” obchodził hucznie pięćdziesiątą rocznicę istnienia, ówczesny kierownik, reżyser i animator „Czarta”, Tytus Wilski, przymusił mnie do napisania „dowcipnego” okolicznościowego tekstu do specjalnie wydawanego z tej okazji programu — „Prostny o głos”. Pisałem tedy „dowcipnie”, zaśmiewając się nad własnym poczuciem humoru do tego: „Przebiegna wieku reszpa kabaretu z każdym rokiem obniża się. Daje się tak na skutek zręcznego podciągnięcia dokonanego przez kierownictwo. Postanowiono bowiem niedawno w poczet członków „Czarta” załaczyć również dzieci członków zespołu. Dzieci tych jest osiemno. W efekcie „Czart” zmniejszył się w pewnym sensie do Teatryku „Violinek”; przebiegna wieku występujących tutaj osób waha się w granicach 10—14 lat. Jest to tym bardziej niezwykłe, że w kabarecie występuje dwójka lekarzy, doktor prawa, magister biologii, w najbliższej przyszłości dojdą do nich jeszcze — magister politologii, ki i magister historii sztuki”. Dodałem też, że w końcu przyjdzie czas, że dzieci przejmą kabaretową schedę po rodzicach...

No i proszę! W obecnie granej „Szopce calorocznej” występuje Wojciech Welik, dwudziestopięcioletni młodzieniec i student prawa UMCS, rodzony syn Jasia Welikiego, który w programie „Prostny o głos” wykonywał wokal: „Ogniwie dziejów chałtury” pióra Władysława Cwi-

ka (co wcale nie ma sugerować, jakoby dzieje kabaretu „Czart” spinał jakiś „leńcuł” tekstowej chałtury ow czasów, gdy tworzył dla „Czarta” Władysław Cwik, po twórcy okres Kazimierza Pawelka).

Cwierćwiekowe dzieje kabaretu „Czart” można podzielić na kilka wyraźnych epok. Była więc najpierw epoka Andrzeja Malinowskiego — założyciela kabaretu; epoka Władysława Cwika i Kazimierza Łojana — „tekściarzy”; epoka Tytusa Wilskiego — wieloletniego „katalizatora” imprezy, a trzecią jest — od kilku lat — epoka Kazimierza Pawelki, autora kolejnych programów. Mimo upływu czasu, zmieniających się mód artystycznych, poglądów na sztukę (trójnie — kabaretową), a także nastrojów społecznych, „Czartowi” udało się przez te wszystkie lata i programy utrzymać pewną „stałą lipię” tematyczną, którą określiłbym mianem „rechotu kiziorów”. Dowcipny na temat alkoholu i pijaków, tak były, tak są nadal jedną z głównych „atrakcyj” programów „Czarta”. Jest to swoja droga wynik czerpania — jak to się mówi — „pełnymi rękami” z otaczającej nas rzeczywistości. Rzecz chwalebna, jeśli chodzi o autorskie ambicje, ale przypadam, że czasem trochę dla mnie tego rechotu w „Czarcie” — za wiele.

Poza sprawami alkoholowymi obecna „Szopka caloroczna” zwraca ostrą uwagę na cały szereg innych bolączek i niedogodności w życiu naszego społeczeństwa, ze szczególnym uwzględnieniem specyfiki lubelskiej. Robi to, notabene, z takim satyrycznym rozmachem, że nie zostaje w programie miejsca na choć jedną „prawdziwą” romantyczną czy sentymentalną piosenkę, wprowadzającą na estradzie i na widowni tak zwany „nastrój”. Tak było przecież zawsze dotąd w „Czarcie” — od czasów Janusza Kolasy, Lucyna Sienkiewicza, Simona Włoch i Piotra Szeptymana, i nie wiem, dlaczego w ostatnim programie takich piosenek zabrakło. Podobają mi się piosenki satyryczne, takie jak „Lubartowski tango”, „Daj mi tę noc” czy „Nie ma napiećka” a z tekstów i skręcy przede wszystkim: „Rewia mody kryzysowej”. Z satyryczną odnotowałem także fakt bardzo dobrego „dobra” przedstawienia, które jest dynamiczne, pełne weny i przeważa w nim naprawdę dobre estradowo-kabaretowe aktorstwo. Na czele zespołu — Zbigniew Szeptyman i Anna Świetlicka, która — obok piosenkarstwa — aktorskich talentów — zaskoczyła mnie autentyczną komiką. No, a to przecież jeden z najlepszych zespołów w kabaretowym aktorstwie.

Program cieszy się powodzeniem: trzy razy w tygodniu są trzy przedstawienia, i sala jest pełna.

M. D.

Mistrzynie nastroju

SYMPATIE i emocje nastolatów łączone są przeważnie z łatwą, słodko sącząca się muzyką, w której rytm można znaleźć w dyskotece. Pewnie dlatego dużym wzięciem cieszą się nagrania Wham, Modern Talking, Sandry, Madonny, Billy'ego Oceana i paru innych producentów tanecznych hitów. Nie odzegnując się od swych idoli, warto czasem posłuchać wykonawców nieco ambitniejszych, uprawiających muzykę odległą od modnych kanonów, a mimo to fascynującą. Do takich wykonawców należy 28-letnia Angielka Kate Bush. W roku ubiegłym ukazał się nakładem EMI jej piąty, długo wyczekiwany krążek „Hounds Of Love” („Ogary miłości”). Wypełnia go dosyć dziwny, ale szalenie atrakcyjny repertuar. Kate Bush jawi się w nim indywidualistką, chadzającą własnymi ścieżkami. Nawet wnikliwemu, osłuchanemu z muzyką rozrywkową odbiorcy nie uda się odnaleźć związków tej artystki z popularnymi stylami. Kate wykorzystuje bowiem rozbudowane partie orkiestrowe i chórki, instrumentację wywołującą co najmniej zdumienie i reminiscencje wschodniej egzotyki. Eksperymenty dźwiękowe dopełnia sposób interpretacji, łamiący uznane wzorce. Wszystkie elementy służą wywołaniu specyficznego nastroju, skłaniającego do refleksji i rozważań nad tajemnicą ludzkiego geniuszu. Bush jest w swych kompozycjach zagadkowa i prowokująca, usypiająca słodko głosem i wywołująca odruch zniecierpliwienia.

Wystarczy posłuchać „Running Up The Hill”, „Cloudbusting”, „Jig Of Live” czy „Hello Earth”, aby przekonać się o nieprzeciętnych walorach muzyki Kate. Wciąż ona i odkrywa przed słuchaczem nowe tajemnice, bogate współbrzmienia, wspaniałe smaczki aranżacyjne. Trudno się temu dziwić, skoro praca nad longplayem zajęła autorce kilka miesięcy. Piąty album zrealizowała we własnym studiu wykonawczyni, powoli przekształcającą się w osobę wszechstronną. Znalizmy ją już jako wokalistkę. Warto więc wiedzieć, że równie dobrze sprawdza się ona w rolach kompozytorki, autorki tekstów, instrumentalistki, scenografki własnych recitali, tancerki, aranżera i producenta nagrań.

Pisząc o klimacie jej piosenek, przypominających nieco obrazy filmowe, trudno nie zwrócić uwagi na teksty. Są one równie niezwykle, co prowokująca brzmieniem muzyka. Nie obracają się

wokół tradycyjnego tematu miłości, a jeśli już, to w tragicznym wymiarze. Dławią Kate Bush za i - niają postaci niesamowite ze snów i mrocznych legend. Są to najczęściej duchy, strzygi, upiory lub osoby z dewiacjami psychicznymi „ujęte” w zawiłe struktury stylistyczne. Zdawać by się mogło, że Kate solidaryzuje się z twórcami spod znaku speed black heavy, co, niestety, jest bardzo mylące. Muzyka artystki skłania się bardziej w kierunku klasycznej pop music niż metalowego rocka.

Entuzjasci rocka usłyszeli po raz pierwszy nazwisko Bush w 1977 roku przy okazji wydania na singlu szokującej piosenki „Wuthering Heights” („Wichrowe wzgórza”). Przekazywała debutantka uczucia młodej dziewczyny, blaknącej się nocą po wrzosowiskach i pragnącej powrotu do domu mężczyzny, którego jednocześnie kocha i nienawidzi. Piosenka, będąca noidem dla pisarki Emily Jane Bronte, wywołała szeroką dyskusję. Krytycy utrzymywali, iż nagranie jest trickiem technicznym lub rejestracją głosu nadzwyczaj uzdolnionego dziecka. Malo kto chciał wierzyć, że taka skala i barwa głosu dysponuje nastoletnia kandydatka na gwiazdę sceny rockowej. Ona zaś miała wtedy 19 lat i nieodpartą chęć tworzenia piosenek innych od wszystkiego, co oferowali brytyjscy wykonawcy.

Do studia nagrań trafiła za sprawą gitarzysty grupy Pink Floyd — Davida Gilmoura. On odkrył przypadkowo jej głos i zaproponował próbną nagrania. Dokonano ich latem 1975 roku, ale sponsorzy z EMI uznali, że za wcześnie na debiut utalentowanej nie tylko głosowo dziewczyny. Do zarejestrowanych piosenek powrócono po dwóch latach. Wtedy nie tylko brytyjscy fani dowiedzieli się o istnieniu „Wichrowych wzgórz” — „Oporu wewnętrznego” i „Człowieka z dzieckiem w oczach”. Po burzy prasowej, wywołanej promocją wystrzałowego singla, firma EMI wydała longplay „The Kick Inside”. Ukazał się on w lutym 1978 roku i narobił sporo zamieszania w notowaniach najchętniej słuchanych płyt. Nieposkromiona inwencja Kate dała o sobie znać w tym samym roku następną, frapującą płytą „Lionheart”. Na trzeci album „Never For Ever” kazala już czekać koneserom dwa lata. Również dwa lata dzieliły edycje „Never For Ever” od premiery rewelacyjnego brzmieniowo dysku „The Dreaming”. W każdej z tych płyt Bush była odkrywczą i fascynującą, a jej piosenki zmuszały tłumy słuchaczy do użycia wyobraźni. Artystka nie kryła fascynacji kulturą Wschodu. Brzmienie w niektórych piosenkach przywodziło skojarzenia z muzyką wietnamską, tybetańską, arabską. Doprawiała je autorka niezwyklejmi tekstami i temperamentem wykonawczym, wywołującym dreszczyk emocji.

Po czterech, doskonale sprzedawanych krążkach, krytycy i konesery uznali zgodnie, że podobne talenty pojawiają się niezmiernie rzadko. Talent artystki decyduje też o tym, że jej nagrania nie starzeją się, są wciąż aktualne, intrygujące. Podobne wrażenie można odnieść po wysłuchaniu najnowszego, moim zdaniem najciekawszego, dzieła



Repr. Adam Trochimluk

Kate Bush. Po jego premierze autorka zdecydowała się na filmową wersję napisanej niedawno suity „The Ninth Wave”. Kto wie, czy nie będzie to nowa rewelacja.

Kate Bush urodziła się 30 lipca 1958 roku w rodzinie lekarskiej. Nie ma przygotowania fachowego. Jest muzycznym samoukiem, który zaskakuje wyobraźnią i wrażliwością na świat dźwięków. Zanim wystartowała do wspaniałej kariery piosenkarskiej, pobierała lekcje tańca w szkole baletowej i występowała w zespole mimicznym. Kate ma 156 centymetrów wzrostu, ciemne włosy i ogromny zapal do pracy. Możemy z jej strony być pewni niejednej zadziwiającej niespodzianki. „Mam — powiedziała kiedyś dziennikarzowi — ogromną ochotę do malowania pięknych obrazów przy pomocy dźwięku”. Istotnie, freskom Kate Bush trudno odmówić urody, podobnie jak jej samej.

Istvan Grabowski

Idol i gwiazdy

Dokończenie ze str. 7

wego, teksaskiego środowiska wielkich hodowców bydła, wykiptowanego i uwazanego za szaleńca z powodu swej „obcesyjnej” idei. Tą ideą była wiara, że na skrawku pozostałego mu po rodzicach nieurodzajnego gruntu, wchodzącego klinem w posiadłość bogatego młodego hodowcy (grał go Rock Hudson), znajdzie potężne źródło ropy naftowej. Co przyniesie mu nie tylko majątek, ale — jeszcze ważniejsze — da możliwość pokazania wszystkim wokół, że „miał rację” i że nie jest „byle kim”. Reżyser George Stevens zarysował umiejętnie problem „starego i nowego” w konserwatywnym Teksasie, niechęć starych, tradycyjnych rodów do industrializacji regionu, do niszczących środowisko naturalne oraz dotychczasowy sposób życia — szybów naftowych. Równie ważny był jednak w „Olbrzymie” wątek miłosny; opowieść o nie spełnionej miłości młodego „buntownika” do przybyłej z kulturalnego „zeuropeizowanego” Wschodu amerykańskiego, pięknej żony młodego farmera-magnata. Postać dziewczyny, która znalazła się nagle w zupełnie dla niej obcym — fizycznie i kulturowo — środowisku odtwarzała — o rok młodszą od Deana — Elizabeth Taylor.

Piękna, szafirowooka i czarnowłosa, drobna i delikatna, ale pełna zdecydowania, Liz Taylor miała już wówczas za sobą wiele sukcesów aktorskich. Posiadała szerokie emploty aktorskie, wielki talent oraz magiczny wpływ na mężczyzn. W przyszłości miała szokować świat swoimi licznymi małżeństwami, kłótniami, głośnymi rozwodami oraz królewskimi klejnotami, które składali u jej stóp zakochani mężczyźni.

Trzecią osobą w tym aktorskim trójce z „Olbrzymia” był potężnie zbudowany, niemal dwumetrowy, Rock Hudson. Najstarszy z całej trójki — urodził się w listopadzie 1925 r. — nie dorównał nigdy Deanowi i Elizabeth Taylor skalą talentu aktorskiego, lecz za to przez wiele lat cieszył się opinią jednego z najbardziej męskich aktorów amerykańskiego kina. Syn mechanika samochodowego z Illinois, choć podobnie jak Dean doświadczony przez los w dzieciństwie (ojciec wcześniej opuścił dom, matka wyszła powtórnie za mąż za człowieka, który nie umiał chłopcu życia), Rock Hudson (a właściwie: Roy Sherer) nie miał takich jak James Dean kompleksów, problemów i frustracji. Po odbyciu służby wojskowej jako mechanik samolotowy, na lotniskowcu, szybko znalazł się — głównie dzięki

swej sylwetce i urodzie — na planie filmowym. Grał początkowo drugoplanowe role Indian lub Arabów, w Polsce oglądaliśmy go po raz pierwszy w westernie „Winchester 73”. W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych odznaczył się ciekawie zagrany rolami w filmach „Wspaniała obsesja” i „Na wszystko co nieba zezwoli”, mając za partnerkę Jane Wyman, pierwszą żonę Ronalda Reagana. Za rolę w „Olbrzymie” otrzymał nominację do Oscara.

Nominację do Oscara (drugą już zresztą z kolei) otrzymał wówczas razem z Rockiem Hudsonem — James Dean. Tylko, że była to, niestety, nominacja pośmiertna, Dean od roku spoczywał w grobie.

Nigdy nie zobaczył się ani w „Buntowniku bez powodu”, ani w „Olbrzymie”. 30 września 1955 r. wsiadł wraz ze swym przyjacielem mechanikiem samochodowym, Rolfem Wutherichem do srebrzystego Porsche Spydera. Jechali, aby wziąć udział w dorocznym wyścigach samochodowych w Salinas, on prowadził. O godzinie 17.44 zobaczyli zajeżdżającego im z przeciwka drogie na skrzyżowaniu — Forda. Dean powiedział do Rolfa Wuthericha: „Ten facet powinien się zatrzymać. MY mamy pierwszeństwo. Musi nas facet widzieć!”

Ale 23-letni Donald Turnspeed nie widział ich. I w minutę później o 17.45, James Dean leżał martwy, ze złamanym karkiem, wśród szczątków swego samochodu.

W ostatnich scenach „Olbrzymia” James Dean, Elizabeth Taylor i Rock

Hudson jawili się „po latach”, jako trójka posiwiałych, ale wciąż pięknych, pełnych sił witalnych, zdrowych ludzi. Szczególnie — Hudson i Taylor, którzy mimo licznych „zakrętów życiowych” zachowali miłość i wzajemny szacunek. Życie dopisało jednak zupełnie inny epilog do prawdziwego życiorysu tych dwojga.

Rock Hudson zmarł w końcu ubiegłego roku na AIDS. W wieku sześćdziesięciu lat ten do niedawna biesze do-rodny i silny mężczyzna wyglądał na ostatnich zdjęciach jak stary, wyniszczony fizycznie, ubogi farmer.

A Liz Taylor, owa wspaniała aktorka, urzekająca Kleopatra w słynnym filmie Josepha L. Mankiewicza, zachwycająca i w filmach kostiumowych, i o tematyce współczesnej, nagrodzona Oscarami?... Po ośmiu małżeństwach (w tym dwukrotnie z Richardem Burtonem) po licznych pobytach w szpitalach po okresach niepomamowanego alkoholizmu i nadużywania środków nasennych granicznych z narkomania — ta Liz Taylor ostatnio kolejny raz zadziwiła wszystkich. Potrafiła podnieść się z dna upadku. Podczas ubiegłorocznej uroczystości rozdawania Oscarów pojawiła się nieoczekiwanie na sali, odmłodzona i fascynująca jak niegdyś. Wróciła na plan filmowy. Gra w serialu telewizyjnym „Hotel” postaci aktorki, która wyrwawszy się z nałogu pijaństwa, wraca do świata.

Liz Taylor... kobieta-mit. Choć nigdy nie było jej danym stać się idolem.

Mirosław Derecki

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasński (sterownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentarz), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skróć. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w dniach 14-16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 1.

Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Janka 6, tel. 233-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 5/1.

Telefony: sekretariat, redakcji naczelną, z-ca redaktora naczelnego 233-33, sekretarz redakcji 215-33, dział publicystyki i literacki 233-35.

Korespondencje prosimy kierować pod adresem: 20-030 Lublin skrytka pocztowa 131, kolejne i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nawet Maradona nie jest doskonały...

— Czym jest dla pana piłka: praca, przygoda, rozrywką?

— Przede wszystkim przyjemnością, ale także pracą.

— Jakie cechy powinien, według pana, posiadać idealny piłkarz i ile brakuje panu do ideału?

— Nie ma idealnego piłkarza. Każdy posiada jakieś braki. Nawet Maradona nie jest doskonały. Jeśli chodzi o mnie, mam dużo braków. Zdaję sobie z tego sprawę i na każdym treningu staram się pewne elementy szczególnie dopracowywać.

— Czy pańska kariera przebiegałaby inaczej, gdyby nie odszedł pan z Widzewa?

— Nie zastanawiałem się nad tym. Widziew to bardzo dobra drużyna i nie sądzę, aby moja kariera potoczyła się inaczej, gdybym dotąd reprezentował jego barwy. Życzę mu szczerze wicemistrzostwa Polski. Tytuł mistrzowski rezerwuję dla Legii.

— Gdyby nie był pan piłkarzem, jaki inny zawód chciałby pan uprawiać?

— Jestem przede wszystkim piłkarzem. Gdybym miał wybrać inną drogę życiową, starałbym się zdobyć jak najwyższe wykształcenie. Myślę jednak, że moje życie i tak byłoby związane ze sportem. Prawdopodobnie studiowałbym w AWF.

— Jaką cenę płaci się za sławę, popularność?

— To na pewno satysfakcja, kiedy ludzie rozpoznają człowieka na ulicy. Z drugiej strony popularność przeszkadza. Nakłada określone ograniczenia. Stając się osobą publiczną, na każdym kroku trzeba kontrolować swoje zachowanie, pilnować się, aby nie zrobić czegoś nieestosownego. A przecież piłkarz jest przede wszystkim normalnym człowiekiem i ma zawsze prawo do normalnych, naturalnych reakcji. Sława tę naturalność przytępia.

— Proszę opowiedzieć coś o swojej rodzinie.

— Moje sprawy osobiste pozostawmy na boku. Skoncentrujmy się wyłącznie na problemach sportowych.

— Jak wyobraża pan sobie swoją rolę w reprezentacyjnej drużynie na Mundialu?

— Myślę, że moje miejsce na boisku znajduje się w linii pomocy. Rozegrałem w tej formacji kilka bardzo udanych meczów. Chciałbym zatem zagrać na tej pozycji. Zaczynając jednak od początku, najpierw pragnę w ogóle na Mundial pojechać, potem zmieścić się w podstawowej jedenastce, a potem już grać najlepiej, jak potrafię. Nie rozmyślałam o zrobieniu w Meksyku jakiejś oszalałej kariery. Wychodząc na boisko, chciałbym po prostu grać dobrą piłkę. To wszystko.

— Pośród polskich piłkarzy grających w kraju jest pan obecnie tym, którym najbardziej interesuje się sportowa prasa światowa. Co o tym dekuje?

— Myślę, że jedynym wytłumaczeniem tego faktu może być tylko moja gra.

— Czy ma pan jakiś wzór sportowca, do którego pragnie się pan upodobnić?

— Nigdy nie chciałem się upodobnić do nikogo. Pragnę zawsze pozostać sobą. Nie oznacza to, rzecz jasna, że nie ma zawodników, którzy mi szczególnie imponują swoją grą, a także postawą na boisku i poza nim. Takim człowiekiem jest Włodzisław



Rys. Józef Tarłowski

mierz Lubawski. Jego wysoka kultura osobista i sposób zachowania w każdej sytuacji.

— Co pan czuje, słysząc pod swoim adresem okrzyki kibiców: „milioner”, i jak to jest z tymi milionami?

— Cieszę się, że moje wejście na boisko budzi w ogóle jakąkolwiek reakcję publiczności. Jest w naszej lidze wielu zawodników, których pobyt na murawie otacza jedynie obojętność. Kibice mają z kolei to do siebie, że reagują na określonych zawodników zgodnie z pewnym stereotypem. Ponieważ stałem się bohaterem najwyższego transferu piłkarskiego w kraju, stąd te okrzyki.

— Czym interesuje się pan poza piłką?

— Interesuje mnie muzyka młodzieżowa, ta najnowsza, typu „disco”. Poza tym dużo czasu pochłania mi nauka. Jestem obecnie studentem III roku warszawskiej AWF.

— Piłkarze przez większą część roku prowadzą prawdziwie ascetyczny tryb życia. Nie wolno im pić alkoholu, palić, łapać nadwozi itp. Czego z uciech tego pełnego życia żał panu najbardziej?

— Nie żałuję niczego z ogólnie dostępnych przyjemności. Tym bardziej, że z tą ascezą nie jest aż tak źle. Co do papierosów, ja na przykład nie palę, ale niektórzy koleśdzy pozwalają sobie czasami na papierosa. Jeśli nie ma w tym przesady i nie wpływa to na ich kondycję fizyczną, nie sądzę, aby trzeba mieć im to za złe. Co do alkoholu, jest on, jak to się popularnie mówi, dla ludzi. Piłkarz ma także prawo wypić kieliszek czy dwa szampa, musi tylko wiedzieć kiedy. Sądzę jednak, że piłka wynagradza zawodnikowi wszystkie te drobne niedogodności. Oferuje mu choćby możliwość poznania świata. Uważam, że każdy człowiek powinien mieć swój cel życiowy i gdy jest on już sprecyzowany, realizować go konsekwentnie bez oglądania się na niedostatki, jakie mogą temu towarzyszyć.

— Jak młody chłopak kopiący piłkę na podwórku może stać się Dziekanowskim?

— Musi przede wszystkim lubić to, co robi, i poświęcić temu maksimum dostępnego czasu. Jeśli założy sobie taką drogę życiową, musi po niej konsekwentnie podążać i pracować.

— Co chciałby pan, jeszcze w sporcie osiągnąć?

— Przede wszystkim chciałbym pojechać z reprezentacją Polski na Mundial i zdobyć z nią jakiś medal. Potem chciałbym pograć trochę w jakimś dobrym, zagranicznym klubie.

— Czy ma pan na myśli konkretną firmę?

— Nie. Na razie na konkrety jest gruba za wczesnie.

— Które miejsce zajmie, według pana, reprezentacja Polski w Meksyku?

— Trudno mi na to precyzyjnie odpowiedzieć. Na pewno będziemy się starali o jak najlepsze. A w ogóle dużo będzie zależało od szczęścia. W piłce nożnej, i w sporcie generalnie, szczęście jest niezmiernie ważne.

— Panie Darku, na zgrupowaniu w Wiśle zrobił pan na mnie wrażenie samotnego wśród innych zawodników. Zastanawiam się, czy pan samotny, przemyka pan wśród kolegów z „nieobecny” wyrazem twarzy. Czy czuje się pan samotny?

— Skądże. Myślę, że to tylko złudzenie. Dziękuję za rozmowę i życzę samych sukcesów w życiu i sporcie.

Rozmawiał: Wiesław Horabik

(Wywiad nieautoryzowany)

Krzyżówka nr 4 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści, której tytuł utworzą drugie litery 22 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami. Wyrazy pomocnicze

- nieprawdziwe zarzuty — 27. 88. 135. 19. 9. 35. 43. 16. 106. 51. 37.
- klamra, sprzączka — 66. 20. 121. 34. 18. 31. 64. 60.
- wielki kraj w Azji — 82. 33. 41. 147. 69.
- zazdrość — 138. 42. 87. 158. 70. 46.
- przewodzi fale radiowe — 136. 12. 159. 97.
- pokrywa drzewo — 11. 2. 117. 32.
- ukośny pręt kratownicy — 55. 14. 79. 139. 59. 125. 108. 7. 148.
- mąż córki — 75. 23. 113. 73.
- czarnoskóry — 67. 83. 122. 149. 45. 91.
- trzecia księga „Pana Tadeusza” — 100. 25. 52. 114. 38. 56.
- część stroju kobiecego — 3. 89. 123. 76. 154. 17. 71. 58.
- prawosławna katedra — 142. 29. 1. 98. 78.
- myśl przewodnia — 92. 26. 152. 116.
- obszar o pewnych właściwościach — 144. 28. 134. 65. 120.
- dramat Wyspiańskiego — 22. 54. 4. 132. 74. 50.
- pora roku — 151. 53. 157. 141. 105. 30.
- oceny człowieka — 110. 96. 112. 104. 155. 57.
- żeby czapka nie wpadała na oczy — 133. 47. 49. 107.
- dziesięć do trzeciej — 143. 10. 111. 84. 48. 137.
- akcje spółdzielni — 130. 115. 6. 68. 77. 21. 150.
- stop rzeźbiarski — 124. 5. 102. 118.
- poczta i telekomunikacja — 94. 39. 8. 44. 131. 103. 145. 120.
- w Hamburgu uchodzi do morza — 140. 156. 85. 15. 129. 9.
- surowiec piekarza — 36. 127. 109. 90.
- kształtuje je rynek — 146. 24. 81. 62.
- ciastka z białek — 61. 80. 40. 119.
- dokonywany w rzeźni — 153. 99. 13. 126.
- ryba jezior nadbałtyckich — 63. 72. 95. 101. 86.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26		
27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39		
40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52		
53	54	55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65		
66	67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78		
79	80	81	82	83	84	85	86	87	88	89	90	91		
92	93	94	95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	
106	107	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118		
119	120	121	122	123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	
133	134	135	136	137	138	139	140	141	142	143	144	145	146	147
148	149	150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 2 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Jesteśmy narodem romantycznych idiotów. Zresztą w Polsce jak chcesz powiedzieć, że coś jest bezdennie głupie, mówisz, że „romantyczne” i wszyscy to głupstwo szanują. Ale teraz nikt nie szanuje nawet własnej mądrości.

Roman Bratny

Rok w trumnie

Nagrodę wylosowała Wanda Niozbecka, ul. Czarnek 21 m. 14, 20-134 Lublin.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-050 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 500 zł.